Nr-33-18-VIII-1928

ŚWIAT



CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXIII **ŚWIAT** - NR - - 33 -

WARSZAWA, DNIA 18-go SIERPNIA 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WSPOMNIENIE GENUI

(PRÓBA PACYFIKACJI EUROPY)

Czasy nasze, tak pełne zdarzeń wielkich i małych, głęboko dramatycznych i pustych a śmiesznych, biegną tak szybko, jak samochód dobrej marki albo jak obrazy na ekranie kino. Pomyśleć tylko, cośmy przeżyli od lat dziesięciu! Nie zliczyć tego na tysiącu palców i nie spisać we wszystkich tomach „Trylogji" Sienkiewicza. Człowiek sam siebie chwyta na tem, że zapomniał, że mu wojna, zjawiska, wypadki i nazwiska uciekły z magazynu pamięci. Ilu ludzi pomarło w ciągu tych lat dziesięciu, ilu cofnęło się z pierwszych szeregów na tyły zapomnienia. Zmarł Giolitti, ostatni mąż stanu z czasów sławnego „liberalnego" okresu dziejów włoskich dziewiętnastego wieku. A czy Lloyd George żyje jeszcze? Przecież on był z tych, co wygrali wojnę światową? W ciągu pięciu lat po wojnie trząsł światem, nie tylko anglosaskim ale światem kontynentu europejskiego, Lloyd George Wersalu, Trianon, San Remo, Spa, Cannes, Genui... Kto dziś mówi o Lloyd George'u? Chyba, że sam artykułem drukowanym w „Neue Freie Presse" przypomni światu czytającemu dzienniki niemieckie, że żyje i czeka na upadek gabinetu konserwatywnego.

Zapomnieli wszyscy o takiej drobinie, jak Genua, jak „wielka konferencja pokojowa" w Genui (1922). Zaledwie sześć lat minęło. Żyją jeszcze uczestnicy, a na samym półwyspie apenińskim, w samej Genui wspaniałej (la Superba) czy pysznej przewaliło się tyle wielkich a często i przerażających wypadków, że dobrze się trzeba napracować nad własnym mózgiem, aby z pod progu świadomości wydobyć ludzi i wypadki, których człowiek był świadkiem, albo nawet współuczestnikiem. Dlatego dobrze uczynił znany pisarz francuski Jean de Pierrefeu, ogłaszając książkę *„La Saison Diplomatique"* (Paris, 1928). Był, jak wielu, jak ośmiuset dziennikarzy — od największych aż do zgoła małych świata całego — w Genui w ciągu sześciu tygodni (kwiecień — maj) 1922 r. Prowadził, jak wielu innych, dziennik wypadków z dnia na dzień, z godziny na godzinę przepływających koło inteligentnych oczu pisarza i publicysty. Olbrzymia większość braci dziennikarskiej pisała czy fabrykowała depesze (setki, tysiące wyrazów od południa każdego dnia aż daleko poza północ!), prawda gęsto pomieszana z kłamstwm, z domysłami, pisanemi na wodzie domysłów, podsłuchów, podejrzeń, znaczących uśmiechów, pełnych, jak myśleli, treści uścisków dłoni... Pierrefeu, ten sam, który tyle ciekawych ogłosił książek z zakresu wspomnień wojny światowej, Pierrefeu, szef biura prasowego w sztabie generalnym francuskim, autor tysiąca pięciuset komunikatów z pola bitwy, był w Genui świadkiem, obserwatorem. Znał wszystkich, ze wszystkimi rozmawiał, wszystko własnemi oglądał oczyma. Dodajmy: oczyma inteligentnego, sceptycznego, doświadczonego Francuza. Co prawda, nietrudno być mądrym i sceptycznym w oddaleniu lat sześciu. Chętnie jednak przy-

znaję, że notaty, które Pierrefeu prowadził, niewiele się różniły od tych, które dziś ogłasza. Przeżyłem obok niego całą tragikomedję genueńską, cały jarmark próżności, kłamstwa, nieuczciwości, blagi.... obżarstwa. Już po dwu tygodniach, aczkolwiek nie miałem nigdy pretensji do jasnowidztwa, do wszechwiedzy, do uprzywilejowanego stanowiska w dziedzinie dziennikarstwa politycznego, czułem, że, „nic z tego nie wyjdzie" i wyjść nie może i sceptycyzmowi temu dawałem wyraz w listach, pisywanych z nad morza przecudnego, z nad morza, od którego piękniejszym był tylko lazur nieba włoskiego, do pism warszawskich. Wrażenie moje było wtedy, że gdyby nie było ośmiuset dziennikarzy, konferencja byłaby się skończyła po dwu tygodniach. Dziennikarze stworzyli atmosferę wiecznego podniecenia, stałego zdenerwowania i paroksyzm ten musiał minąć, jak każda gorączka. Każdy dziennikarz musiał odrobić swoje tysiącowierszowe telegramy, swoje „wywiady" z wielkimi ludźmi, z „małymi — jak doświadczenie pouczyło — ludźmi do wielkich interesów". Sam Lloyd George musiał sobie zęby połamać o twardy orzech porozumienia z moskiewskim kondotjerem (jeszcze podówczas włoskiego nie było, choć czyhał w niedalekim Medjolanie!).

Wymieniliśmy najważniejsze zdarzenie Genui: obecność przedstawicieli Sowietów. Lloyd George, pewny siebie, we własnem przekonaniu wiele razy mędrszy od Briand'a, uważał, że z chwilą, gdy zgodzi się na obecność bolszewików, zdobędzie taką na konferencji przewagę, że zagra swojego Beaconsfielda z kongresu berlińskiego (1879 r.), swojego Talleyranda z kongresu wiedeńskiego (1815 r.), a nad samymi bolszewikami tak dalece zatryumfuje, że nietylko zapłacą wszystko, co dłużni, ale jeszcze naftę kaukaską... oddadzą w zastaw....

Wszyscy też zaczęli skakać koło Cziczerina i towarzyszy... Ulica, która pragnęła spotkać się oko w oko z carobójcami, którzy urzeczywistnili rewolucję socjalną, zabrali wszystkie bogatym, aby to wszystko oddać ....biednym, była rozczarowana. Cziczerin mianowicie ubrał się w cylinder! Nie wiem, jak go sobie wyobrażała ulica Genui, ale widziałem rozczarowanie i pogardliwe głosy: „La tuba di Cziczerin!" Lloyd George, natomiast, był zachwycony. Ależ to Europejczycy. Mogliby jeść z nami obiad w Carlton Hotel w Londynie! Oczywiście, że Lloyd George nie myślał tylko o cylindrach. Myślał, jak obłaskawić dzikusów... I wnet zaczęły się rozmowy na tematy ekonomiczne; każdy chciał zarobić (a dużo, a jaknajwięcej), nikt nic dać nie chciał. Sprowadzono z całego świata najznakomitszych lekarzy od chorób gospodarczych (że wymienimy tylko profesora Cassel'a ze Sztokholmu) i eksperci ci mieli wynaleźć kamień filozoficzny, który pozwoli cmentarz przeobrazić w ogród rajski wszelkich rozkoszy, przekreśli wszystkie *debet'y* w rachunku wojny światowej i pozwoli obok wygranej wojny wygrać i pokój, o którym już wtedy zaczynano mówić, że został przegrany (nous avons gagné la guerre, nous avons perdu la paix, znany aforyzm, który zastąpił ten pierwszy: le Boche payera....).

Bolszewicy zrozumieli, że są osaczeni przez ogary całej Europy, że im nikt nic nie da, a natomiast, że uważają ich za carobójców, morderców, bandytów i podpalaczy — cały ten świat t. zw. dyplomatów myśli tylko o jednej rzeczy, jak na nich zarobić. Lloyd George, który, gdyby nie był wielkim mężem stanu, chodziłby po Londynie, jak Celt z katarynką i z małpką na katarynce — myślał, żeby Cziczerina zapędzić „w kozi róg", pozwalał im na wszystko. Co wieczór p. Rakowskij (łączący w sobie wszystkie zalety Bułgara, Rumuna i Moskala) — poucza w audytorjum uniwersytetu genueńskiego o wszystkiem, co dotyczy Rosji Sowieckiej. Na wykłady te chodzą początkowo tłumy. Ale tłumy zrozumiały, że mają przed sobą wschodniego łgarza (może poprostu Cygana), i wstydliwie wycofały się z gry... Pozostali dziennikarze. Rakowskij mówi 20 minut, poczem następuje dyskusja na temat więzień, czrezwyczajki, głodu i t. p. Zadziwiającym jest spokój, z jakim prelegent odpowiada. Nigdy się nie zająknie. Wszystkie oskarżenia odrzuca i żadnego podstępnego pytania bez odpowiedzi nie pozostawi. Nie przypominam sobie, abym kiedy słyszał większego kłamcę, bardziej przewrotnego Cygana. Wrażenie moje nie jest indywidualne, odosobnione. Wystarczy spojrzeć na audytorjum. Z wyjątkiem członków delegacji sowieckiej, z wyjątkiem daktylografek, branych z tej delegacji dla zapełnienia sali, dla dawania braw i t. p., na obliczach wszystkich pozostałych słuchaczy widać uśmiech litości: żeby „mąż stanu" poniżał się do takiego stopnia! Pouczenia te trwały kilka tygodni, aż wreszcie skończyły się. Rakowskij przyszedł do przekonania, że daktylografki swoje może nawracać i w Rapallo...

Pewnego dnia, było to w pierwszy dzień Wielkiej Nocy, Pałac Prasy był pusty niemal. Rano deszcz padał, popołudniu rozjaśniło się niebo i dziennikarze w samochodach, ofiarowanych przez organizatorów konferencji, wyruszyli za miasto. W Pałacu Prasy było tylko kilka osób. Siedział opodal mnie włoski komunista, redaktor gazety „Il Nuovo Ordine" (Nowy Porządek) i popijał tak samo, jak ja — czarną kawę. Widać było, że się nudzi. Kilka razy spotykały się nasze spojrzenia. W pewnej chwili zbliżył się do mnie.

— Znasz nowinę?

— Dziennikarz zna wszystkie nowiny, te nawet, które się jutro staną albo za miesiąc....

— Bez kawałów! Czy wiesz, co się wczoraj stało w Rapallo?

— Nie wiem.

— Został podpisany traktat zaczepno-obronny z Niemcami. Co? Dobra nowina? Sekret zupełny. Daliśmy słowo, że jutro dopiero damy znać do dzienników, ale tobie mówię, bo jesteś dobry kolega.

Udałem, że wiadomość ta mnie nie wzruszyła wcale. *Un fait divers.* Redaktor włoski pogadał jeszcze trochę i powiedział, że ma spotkanie ale nie dyplomatyczne w kawiarni i poszedł.

Jak tylko był za drzwiami, doszedłem do telefonu, aby sprawdzić w Nerwi, gdzie urzędowała delegacja polska, czy wiedzą o tym fakcie, o którym z niemałą emfazą mówił Włoch.

Nic nie wiedzieli. Byli wszyscy w komplecie. Pan Skirmunt był w Genui. Kiedy wrócił o północy, wszyscy czekali, aby mu o nowinie powiedzieć. Byli pewni, że przywozi sto uzupełnień do faktu, który się narodził przed 24 godzinami. Nic nie wiedział i oświadczył, że to kaczka dziennikarska. Tymczasem, to był fakt spełniony, który zmienił całą sytuację na konferencji.

Rano w katedrze arcybiskup Genui witał delegatów niemieckich, dla których ustawiono specjalne o szkarłatnych obiciach i złocone fotele. Mówił o wielkim narodzie, który poniósł takie straszne straty na wojnie, ale który z Bożą pomo-

cą, mając na czele takich ludzi, jak kanclerz Wirth (szef delegacji niemieckiej, katolik, który właśnie siedział na owym złoconym fotelu), podniesie się szybko do dawnej chwały i potęgi. Król, który przybył na dwa dni z Rzymu, aby powitać konferencję i wydał na statku swoim wielkie urzędowe śniadanie, obsypywał Cziczerina komplementami bez końca, co zwracało powszechną uwagę *). Przy stole inni członkowie delegacji sowieckiej siedzieli przy arcybiskupie Signorim, — opowiadał po śniadaniu, że byli zachwycający — i przez cały czas mówili o pojednaniu kościołów....

* *

Tymczasem pracowały komisje, na których było bardzo burzliwie. Bolszewicy dawali do zrozumienia, że gotowi są do ustępstw na rzecz wierzycieli zachodnich, że pragną wejść w najbliższe stosunki z producentem i konsumentem zachodnim, ale żądają jednej rzeczy: uznania Sowietów *de jure*. Na ten drobny szczegół nie chciał się w żaden sposób zgodzić ówczesny szef rządu francuskiego, p. Poincaré. Delegacja francuska nie była samodzielna. Pan Barthou, jej szef domniemany, otrzymywał tylko rozkazy i polecenia z Paryża. Godzinami całemi siedział przy aparacie i rozmawiał z Paryżem. Telegramy szły za telegramami. Gońcy za gońcami. Wreszcie pewnego dnia przyszedł rozkaz, aby p. Barthou przyjechał do Paryża. Albowiem p. Barthou zaczął się wahać: pod wpływem Lloyd George'a. P. Barthou czuł się zmęczony. Jest to człowiek bardzo przebiegły, sprytny, żywy—chłop bearneński. Ale prowincja Bearnu i wyspa d'Oleron leży bądź co bądź na południu. Południowiec to nie Lotaryńczyk. Żyje raczej odruchami. To nie uparty, o żelaznej woli Lotaryńczyk. Czuł to p. Poincaré, sprowadził pana Barthou do Paryża. P. Barthou nie chciał jechać. Bał się, że go ta podróż ośmieszy. Wreszcie pojechał. Wrócił zmieniony. Nie chce słyszeć o żadnych ustępstwach, o żadnej zgodzie z Cziczerinem. Awanturuje się na komisjach, na podkomisjach.

Co widząc, Lloyd George przyszedł do wniosku, że musi zacząć wielką grę polityczną, inaczej z całej tej konferencji nic nie wyjdzie (w tej chwili wszyscy już wiedzieli, że nic nie wyjdzie).

Woła dziennikarzy i poucza ich, że opinja angielska jest w najwyższym stopniu oburzona stanowiskiem Poincare'go, że społeczeństwo angielskie uważa, iż sojusz z Francją trwać dalej nie może, że dni jego są policzone, że p. Poincaré wziął na siebie odpowiedzialność, która zaważy na dziejach Europy.... W szczególności zwierzył się Lloyd George znakomitemu dziennikarzowi, p. Filipowi Millet, dawnemu dyplomacie, korespondentowi *Petit Parisien*. Uczynił to z takim talentem, z taką siłą przekonania, z takim temperamentem (Lloyd George nie jest Anglikiem, jeno Walijczykiem, t. j. Celtem), że Millet w olbrzymiej depeszy poinformował czytelników swoich o tem, że stan dzisiejszy dalej trwać nie może. Lloyd George myślał, że na list Millet'a zareaguje parlament francuski, obali Poincare'go, a wtedy on, Lloyd George, przeprowadzi wszystko, co będzie chciał w Genui.

Kłamstwem świat przejdziesz, ale nie wrócisz. Kłamstwa Lloyd George'a zostały w ciągu kilku dni zlikwidowane. Parlament francuski nie wzruszył się wcale. Natomiast wzruszył się parlament angielski, City londyńska, rząd angielski. Zażądano od Lloyd George'a wyjaśnień. Artykuł Wickhama Steeda, redaktora naczelnego *Times'a* i wiernego przyjaciela Lloyd George'a, który dowiedział się i o rozmowie z Milletem i, co ważniejsza, o rozmowach, prowadzonych z p. Barthou, w których były wypowiedziane te same myśli, co i w artykule Milleta, — wywołał niemal rewolucję w opinji angielskiej. Wszyscy przeciwnicy Lloyd George'a ożywili się i zjednoczyli. Walijczyk myślał przez chwilę, że „położył" — Lotaryńczyka. Teraz leżał sam „na obu łopatkach"...

I oto pisze do p. Barthou: oświadczy, że między nami żadnych rozmów nie było! A gdy odpowiedź nie nadchodzi, pisze po raz wtóry: oświadczy: proszę! W godzinie trwogi Walijczyk gotów jest prosić, błagać o ratunek.

I p. Barthou po namyśle czyni, o co go prosi kolega, taki sam polityk, mąż stanu, jeżeli kto chce. Ręka rękę myje. Lepiej skłamać, niż położyć kolegę, męża stanu.

Pan Pierrefeu z niemałym talentem przedstawia cały przebieg tego dramatu. Podwójnego czy dwojakiego dramatu. Jednym była konferencja. Drugim pojedynek Lloyd George'a z p. Poincarem. P. Lloyd George jest wielkim amatorem takich pojedynków. W r. 1920 zmierzył się przecież.... z Polską. Grał na bolszewickiego konia. Czekał w Lucernie na zajęcie Warszawy przez Lenina i Trockiego. Chciał z nimi zgodę czynić, wbrew Francji, sojuszniczki z czasów wojny, — na trupie Polski. Przegrał w r. 1920. Przegrał ponownie w r. 1922 w Genui.

Gdzież jest dziś Lloyd George, ówczesny pan świata, podobny do lorda Beaconsfielda, na kongresie berlińskim 1879 r., Dyktator Europy? 11 maja na ostatniem posiedzeniu plenarnem konferencji Lloyd George zerwał z Sowietami, zwalił na nie całą winę. Oni są winni, że konferencja nie dała żadnych wyników, oni jedni. Lloyd George jest bezwzględny, kiedy się gniewa. Przypomina trochę p. Clemenceau. Jeden jest z Wandei, drugi z Walji. Kiedy się gniewają, stają się bardzo do siebie podobni. Gniewają się na zimno. Biją pioruny, słychać grzmoty, walenie rękami w stół, nogami w podłogę. Czynią to na zimno. Niewiele ich to kosztuje. Trzeba się było odczepić od Sowietów. Na jedną bezczelność odpowiedzieć drugą—mocniejszą. Tydzień wstecz p. Lloyd George twierdził, pisał, dyktował, że cała wina jest po stronie p. Poincare'go.

Tak się żałośnie skończyła próba pacyfikacji powojennej Europy z udziałem gospodarzy Kremlina.

Stanisław Posner
Senator



*) Opinja powszechna nie przypuszczała, że bolszewicy przyjmą zaproszenie królewskie. Stawili się wszyscy w surdutach i cylindrach. Miejscowi komuniści byli bardzo rozczarowani, ale pogodzili się z losem. Mieszczanie genueńscy z lubością powtarzali, że Cziczerin jest arystokratą i nic dziwnego, że poszedł powitać króla.

NA WIDNOKRĘGU.

Burza — może tylko w szklance wody

Już oddawna dął silny wiatr od europejskiego północo-wschodu, ale dopiero w ostatnich dniach zerwała się prawdziwa burza.

Turbator kowieński podsycał nieustannie podmuchy tego wiatru. Niedość mu było konstytucyjnego Wilna, jako stolicy; przesłał do Warszawy projekt nowego traktatu, urągający suwerennym prawom państwa polskiego, wreszcie dwa tygodnie temu przesłał do Ligi Narodów notę, posądzającą Polskę o gromadzenie znacznych sił zbrojnych na pograniczu Litwy. Szczególniej ta ostatnia nota zaniepokoiła i oburzyła opinję europejską. Pod kątem zbliżającej się sesji wrześniowej zaczęto rozważać, czy zuchwałe wystąpienia Waldemarasa nie zakłócą w końcu europejskiego pokoju i czy nie wpłyną na zaognienie nastroju w Radzie Ligi.

Pod wpływem tych obaw nastąpiła zapowiedź równoczesnej interwencji Anglji, Francji i... Niemiec. Ta, w tak nieoczekiwanym składzie zorganizowana interwencja rozpętała burzę. Dwa państwa uczuły się do żywego dotknięte: mała Litwa i wielka Rosja. Cała opinja litewska wystąpiła namiętnie przeciwko „wiarołomnemu" rządowi Rzeszy, który sprzymierzył się na tę chwilę z wrogami Litwy. Moskwa wyraziła również mocne oburzenie, że Niemcy stanęły w jednym szeregu z mocarstwami zachodniemi i ze znienawidzoną Ligą Narodów. Urzędowy organ litewski „Lietuvos Ajdas" tak się zagalopował, że rozpoczął formalny flirt polityczny ze „śmiertelnym nieprzyjacielem" Litwy. Postawił zapytanie: czy Litwa, współpracując z Warszawą i tworząc z nią wspólny front nad Bałtykiem, nie wygrałaby więcej, niż pozostając w związku z dotychczasowym swoim sojusznikiem niemieckim?

Tu nastąpiła rzecz nieprawdopodobna, ale prawdziwa. Petarda, podłożona przez „Lietuvos Ajdas", wybuchła i sprowadziła nieoczekiwane ewenementy. „Auswärtiges Amt" zorjentowało się, z właściwą sobie i podziwu godną szybkością, że poszło w swych posunięciach zadaleko. Urzędówki i półurzędówki niemieckie zostały zmobilizowane. Zaroiło się od zapewnień, że Niemcy ani myślą o wspólnem działaniu z mocarstwami zachodniemi, że pozostaną wierne swojej starej przyjaźni dla Litwy i że chodzi im tylko o złagodzenie polsko-litewskiego zatargu. Tegoż dnia wydelegowany został z Urzędu do spraw zagranicznych naczelnik wydziału wschodniego p. Koepke, do posła polskiego, Knolla, na rozmowę, której szczegółów nie znamy, ale która miała zamanifestować nazewnątrz, że Niemcy czynią takie same ostrzeżenia Polsce, co i Litwie. Prasa litewska dała się odrazu przekonać i rozpłynęła się w lirycznych zapewnieniach, że Litwa chce żyć w przyjaznych stosunkach z narodem niemieckim i że Niemcy, udzielając swych rad w Kownie, nie odstąpiły „ani o włos" od swego dotychczasowego stanowiska.

Jak się załatwiły Niemcy z Rosją Sowiecką? — O tem szczegółowych wiadomości nie posiadamy, ale o tem dość wyraźnie mówi jednoczesna obecność w Berlinie zastępcy Cziczerina, Litwinowa, i ambasadora niemieckiego z Moskwy.

W każdym razie, o ile się zdaje, w trójkącie sowiecko-niemiecko-kowieńskim wszystko będzie załatwione *en famille*.

Kongres „Przeciw wojnie" w Paryżu

Dnia 27-go b. m. odbędzie się w Paryżu zjazd ministrów spraw zagranicznych kilkunastu państw dla podpisania zainicjowanego przez Brianda i Kelloga a gorąco aprobowanego przez prezydenta Coolidge'a paktu „przeciwko wojnie". Jeżeli układ ten dojdzie do skutku, będzie to fakt olbrzymiego w dziejach znaczenia. Chodzi o to tylko, czy dojdzie? Jeszcze niedawno panował w tym względzie powszechny optymizm. Teraz zaczynają się budzić obawy, czy pakt — choć podpisany — będzie ratyfikowany? W Stanach Zjednoczonych rośnie opozycja, na której czele stoi senator Borah. Borah nie chce, aby Ameryka przez swe wiązanie się z państwami europejskiemi zrzekła się swego potężnego znaczenia. Więc senat ma odmówić ratyfikacji. Będzie to powtórzenie historji z Wilsonem i traktatem wersalskim... W Niemczech zaczynają robić wstręty Stresemannowi nacjonaliści. Trudno nie przyznać, że zdecydowawszy się jechać do Paryża, okazał on dość dużą odwagę.

Pojawił się nowy kłopot. Rosja Sowiecka ma być przez dyplomatyczne zabiegi Niemiec zaproszona do udziału w Kongresie. Będzie to niewątpliwie kłopot. Wszyscy przecież pamiętamy, jak brutalnie zachowała się delegacja sowiecka w Komisji Rozbrojeniowej w Genewie. Jak niedźwiedź, wpuszczony do sklepu z porcelaną. Może nie warto tego eksperymentu powtarzać.

er. p.



ZGON POLITYKA JUGOSŁOWIAŃSKIEGO



Stefan Radicz, głośny przywódca Chorwatów i jeden z czołowych polityków jugosłowiańskich, zmarł dnia 8 sierpnia r. b. wieczorem w Zagrzebiu wskutek ran, odniesionych w czasie strzelaniny w Skupczynie

Akwarele Wł. Skoczylasa, wyróżnione III nagrodą na wystawie Olimpijskiej w Amsterdamie

Diana

Św. Hubert

Fot. J. Bułhakówna

„GRUBE RYBY" W ZAKOPANEM



M. Frenkiel ogłasza J. Fałatowi i K. Makuszyńskiemu niesłychany aforyzm: „Ciepło, panowie, jest rzeczą przyjemną!" Fot. Schabenbeck

KORNEL MAKUSZYŃSKI

BAŁTYK Z LOTU MEWY

V.

Podróżnik, który z portu wypływa na morze, krótką chwilę zamglonym wzrokiem żegna ziemię i gościnny port, gdzie wedle dobrych tradycji powinien zostawić kochankę. Tak przynajmniej czyni zawsze mój znakomity przyjaciel, Ossendowski, znający wszystkie porty świata i dopiero od niejakiego czasu przy wyjeździe spogląda przed siebie, bo jeździ z żoną. Jest to jednak pięknym zwyczajem, że w chwili odbijania okrętu znajomi i nieznajomi żegnają się i pozdrawiają wzajemnie powiewaniem chustek. Na naszem wybrzeżu jeszcze tego zwyczaju nie wprowadzono, ze względu na znikomą ilość tego wyrafinowanego tualetowego sprzętu, pożegnanie jednak nie jest wskutek tego mniej serdeczne. A jednak — w żadnym porcie na świecie ludzie z okrętu nie patrzą tak długo i takim dziwnym wzrokiem na opuszczony port, jak to czynimy my, odbijający od polskiego wybrzeża; zostawiamy bowiem na niem więcej niż kochankę, nie jest to bowiem taki wielki rarytas, aby go nie można dostać na świecie; zostawiamy coś więcej, niż miasto, bo rosną one wzdłuż wybrzeża, jak grzyby. My zostawiamy coś, od czego naprawdę oczu oderwać nie można, coś, co nas, zgorzkniałych, napełniło dumą i upadłych na duchu napełniło nadzieją.

Krótko mówiąc, zostawiamy nową Gdynię. Ani jedno słowo z tych, które teraz powiem, nie będzie kwieciste i wydęte powietrzem. Polak tak rzadko się raduje, że wtedy mówi prawdę, poprostu dlatego, że się zachłysnął radością. Gdyby kogoś trzeba było zmartwić, trudno! — wtedy czarne trzeba uczynić czarniejszem i trzeba, ze zwyczajnego nawyku, dolać smoły, żółci, atramentu, arszeniku, zatruć słowa, powietrze, serce i duszę, bo nie może to być, panowie bracia, aby się w wolnej Ojczyźnie jeden Polak cieszył, kiedy drugi jest smutny, bo go zęby bolą, albo, co częściej, wątroba! A na naszym okręcie straszna rzecz się stała: kilkudziesięciu Polaków radowało się głośno, serdecznie i gorąco, wszystko to dlatego, żeśmy długo od strony morza patrzyli na Gdynię i jej nowy port. Słowo daję, że to czary! Z morskiej piany wyszła Wenus i przegląda się w morzu. Słowiańska Wenus, więc baba, jak piec, rozłożysta, wspaniała, mocna; piersi to ma kilkupiętrowe, a tam, gdzie grecka Kalipyga ma to coś najpiękniejszego, tam nasza Wenus ma łuszczarnię ryżu. Aż miło spojrzeć! Jeszcze z niej bałtycka fala nie zdążyła zmyć morskich porostów, słomą krytych rybackich chałupek, ani ślimaczych skorupek zapadających się domków, ale kubeł wody wystarczy, aby tego nie było, tylko same wspaniałości.

Kto tego nie widział, ten nie uwierzy, jak z piasku ukręcono srogi bicz. Jakgdyby Pan Twardowski kazał, a djabeł budował gmach „wysoki pod szczyt Krępaku", bo to na czary wygląda. Hosanna! hosanna! Wszyscy myślą, że ja się tak cieszę z tych sześciopiętrowych gmachów, bruków i bulwarów... Zapewne, zapewne... Z tego się także cieszę, ale mój radosny wrzask pod niebo z innej, jak fontanna, wystrzela przyczyny: z tej mianowicie, że tego nie zbudowali dla nas ani Niemcy, ani Anglicy, lecz że tego dokazali sami Polakowie, raz wreszcie wziąwszy na kieł i dumę biczem podciąwszy. Bo my wszystko umiemy, tylko się nam nie chce. Soboru na Saskim Placu nie umieliśmy zburzyć przez dwa lata, a wyasfaltować ulicy nie potrafimy przez dziesięć lat, bo... nie zawzięliśmy się i nie wściekli. A z Gdynią tośmy zrobili kawał całemu światu, jakby na popis. Tak, to tak, braciszkowie... Polak, kiedy zechce, ho! ho! — tylko nie chce szelma. Jeśli go jednak rozdroczyć, to w przeciągu kilku lat wygrzebie z piasku miasto galantne, wysokie i wspaniałe, zbuduje dworzec śliczny, domy potężne, a teraz buduje port, rzucając w morze olbrzymie cementowe czy granitowe bloki, godne firmy budowlanej „Fasolt i Fafner", którzy budowali Walhallę.

Jest to przedewszystkiem zdumiewające, ale zaraz potem jest to wzruszające. To, że umiemy pracować, to stare rzeczy, o których w Ameryce doskonale wiedzą, a Ford w swoich pamiętnikach głośne temu daje świadectwo. Wzruszające jest to, że raz wreszcie pracujemy w amerykańskim stylu — sami dla siebie. Kto tego dokazał, jak tego dokazał — nie wiem; istnieją, widać, w Polsce ludzie zawzięci i na wielką miarę. Niech tym wielkim budowniczym Pan Bóg da zdrowie i siły, aby wspaniale skończyli to, co tak wspaniale zaczęli. Wybudowali bowiem na pustkowiu miasto w czasach, kiedy w mieście trudno wybudować dom. Ale oni wybudowali więcej, niż miasto, bo to jest wspaniała brama na morze i na świat, to jest spichrz na wszelkie bogactwa, to jest ogromna fabryka, to jest hotel dla całego świata i dla wszystkich jego okrętów, to jest nasz arsenał, to jest pracowity żóraw pokoju i groźny

żóraw wojny, to jest mocna pięść ramienia, co nieskończonością kolejowych rels na drugi kraniec kraju się wydłuża. Po co ja, — przygodny laik, będę tłomaczył ludziom, co oznacza Gdynia? Każdy chyba wie, że to miasto nowonarodzone i ten basen portowy więcej są warte od stu miast, rodzących błoto. Zdumiewają się przecie wszystkie narody, patrząc na to polskie dziwo, niechże więc wolno będzie i mnie się zdumieć i ze zdumienia zakrzyknąć.

Z całego świata wędrować będą ku Gdyni okręty, ja bym zaś myślał, że możnaby jej wspaniałość wykorzystać i na użytek wewnętrzny. Niech jakaś władza stanie u zbiegu ulic, albo niech się zaczai w wielkiej jakiejś kawiarni i wyłapuje zgorzkniałych ludzi, zawodowych narzekaczów, niezadowoleńców, wątpistów, wątrobiarzów, irytastrów, wszystkich krzywogębców, litościwie uśmiechniętych, nie wierzących w żadną przyszłość; zebrać tego towaru możnaby kilka miljonów, co jest zbyt wiele, należałoby tedy wybrać delegację z co najtęższych, najbardziej żółtych i z najbardziej wykrzywionym pyskiem i grzecznie i uprzejmie na koszt państwa zawieźć ich do nowej Gdyni, pokazać i rzec:

— Patrzcie, panowie, oto co się zrobiło! Wiadomo, jest wiele do zrobienia, ale przez lat dziesięć nie można zrobić wszystkiego, tembardziej, że panowie przeszkadzają narzekaniem i jojkaniem. Z każdym rokiem będzie coraz lepiej, jeśli kupiec nie będzie hrabią, ale się pofatyguje przez Gdynię na świat, jeśli szewc będzie robił dobre buty, dziennikarz nie będzie judził i mącił, a kobieta nie będzie tylko tańczyć, ale przypilnuje kiecek i dziecek. Więc niech się panowie ucieszą z tego, co jest, a we wspólnej radości zadziwimy świat!

Ucieszą się żółciowi ludzie, to dobrze; a który się nie ucieszy i będzie bredził dalej i krakał i prorokował, to albo go należy w krótkiej drodze utopić w porcie, albo dla dobrego przykładu skórę z niego złuszczyć w łuszczarni ryżu, która się już nie boi konkurencji Hamburga i tę robotę doskonale i z przyjemnością wykona.

„Cieszmy się w Panu! tysiąc głosów wrzasło".

Trzeba się cieszyć, naprawdę trzeba się cieszyć; zaczęło się od Gdyni, skończy się na zabrudzonem miasteczku Warszawie, na łódzkiej, brzydko pachnącej topieli, na wszystkiem. Radość tworzenia jest jak wiatr, co wszędzie dotrze, byle jej żółcią nie bryzgać w roześmiane oczy. Wszyscy narzekają, a nikt nic nie chce robić, zaś tu pracują z przedziwnym zapałem, ba! z zawziętością.

Jedziemy zwiedzać obce wielkie miasta, ale radość jest nie przed nami, tylko za nami, w tem miasteczku, które się nagle, ze szczęśliwej woli losów stało pokazem energji amerykańskiej, na tych piaskach, z których wytrysło źródło utajonych w narodzie mocy, przywalonych błotniskiem zwątpienia, śmietnikiem narzekań, rumowiskiem zawiści. Gdyby tak pilniej spojrzeć, to by się dojrzało nietylko w Gdyni, lecz wszędzie owoce ciężkiego i zawziętego trudu, tylko że u nas jest zawsze większa radość z jednego zaniedbania, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu wysiłków. Ja osobiście używam me tody radowania się i wiary. Ponieważ objawiam to zawsze w sposób hałaśliwy, więc patrząc z pokładu „Gdyni" na rosnącą Gdynię, na gmachy i zarysy portu, nucę sobie wesoło, wyjątkowo po niemiecku, by mnie i w Gdańsku zrozumieli, na temat z Mozartą „Zaczarowanego fletu":

„Dies Bildnis ist bezaubernd schön,
Wie noch kein Auge je geseh'n!
Ich fühl es, wie dies Götterbild
Mein Herz mit neuer Regung füllt!"

Teraz już mogę jechać spokojnie, bo nic mnie już nie zadziwi, jeśli mnie tak zdołano we własnej zadziwić Ojczyźnie. Dotąd bowiem zdumiewałem się tylko we Lwowie, kiedy widziałem, jak studenci Politechniki sami wozili cegły i mieszali wapno, budując swój własny dom, albo kiedy zakładano fundamenty pod Targi Wschodnie, albo kiedy broniono swojego najukochańszego miasta.

(D. c. n.)

35 ZJAZD PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO W WARSZAWIE



P. Prezydent Rzeczypospolitej przyjął uczestników Zjazdu na Zamku. Najliczniej stawiła się reprezentacja angielska

NASI GOŚCIE



Oficerowie rumuńskiego sztabu generalnego złożyli d. 3 sierpnia wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie



Dzieci polskie z Czechosłowacji, sprowadzone przez Straż Kresów południowych na kolonje letnie do Polski



Wycieczka pedagogów angielskich (w tem 2 amerykanki) przed Pałacem Wilanowskim



DOBRA PANÓW AKTORÓW

Stoi sobie w słońcu, jak w pożarze, spokojnie urodziwy dom dwupiętrowy, czerwoną dachówką jak czapą wysoką, nakryty. Posiada dwa fronty i jedne tylko tyły: boczne. Bokiem się tutaj wchodzi, jeżeli chce się tutaj wejść od tyłu. Jeden front uśmiecha się werandą na plant kolejkowy i bawi swoje pogodne oblicze ładnym — zdaleka — widokiem pociągu, który udaje prawdziwą lokomotywę i prawdziwe wagony, wiezie lalki, dymi, dyszy, gwiżdże i klekocze, a potem wysiadają z niego ludzie dorośli z dziećmi; drugi zaś front domu spogląda poprzez klomby i zagony truskawek, poziomek, sałaty, marchewki, ku rzece Jeziorce, płynącej dyskretnie za wyniesionym nieco brzegiem. Młode drzewka owocowe, ustawione rzędami, zapowiadają uroczo przyszły swój rozrost, przyszłą swoją płodność i odrobinę cienia, którego teraz na całym terenie ze świecą szukać w południe, a drewniana siateczka, biegnąca wokół ogrodu, niby tresowana pajęczyna, aż się prosi o płaszcz z winnych liści.

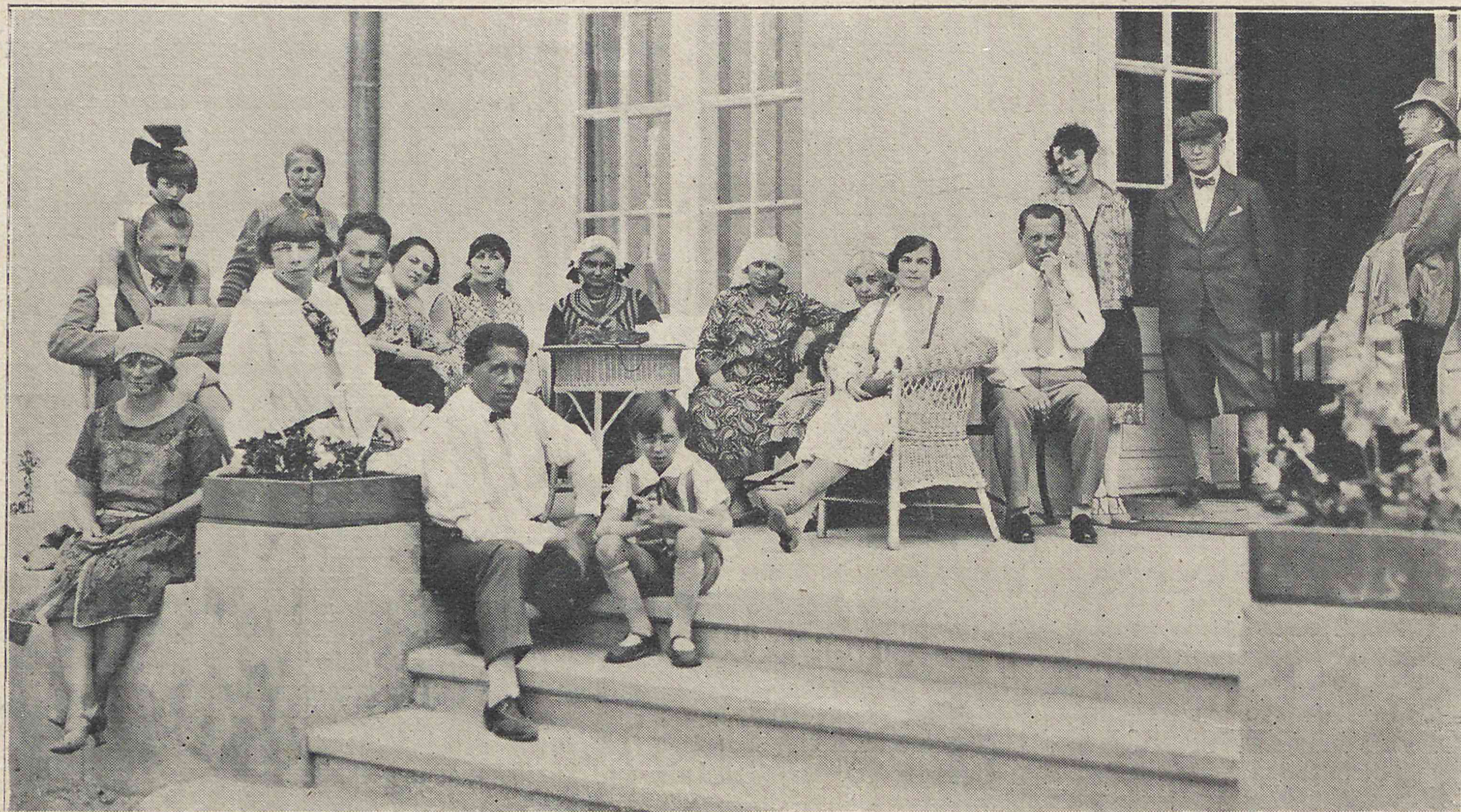
Na werandzie w koszykowych fotelach siedzą, jak na scenie, syci oklasków i owacji, posiwiali artyści. Obok nich młodzież, rozumiejąca własnem doświadczeniem Vauvenargues'owe powiedzenie, iż pierwsze chwile sławy są rozkoszniejsze, niż pierwsze promienie wschodzącego słońca. I pierwsi i drudzy są tutaj u siebie: ten komfortowy dom o pięknym hallu, o trzydziestu pokojach, urządzonych ze smakiem, o kilku wannach, o bibliotece (trzy tysiące książek... jeszcze nie zkatalogowanych), o pięciolampowym aparacie radio, ten dom skanalizowany prywatnie i zelektryfikowany gminnie, to dom Aktora Polskiego.

Rządy w nim sprawuje Zasp przez swoich prokonsulów, ale jego stałym dożywotnim kuratorem jest p. Antoni Bednarczyk, bo energją, zabiegliwością, uporem p. Bednarczyka, na gruncie ofiarowanym przez pana sędziego Wacława Prekera, wyrosło w Skolimowie prześliczne „Schronisko", proszące się o nazwę nietylko mniej pokorną, ale wręcz o imionisko pyszne. Jabym był za Elsynorem, ponieważ w dzień i w nocy chodzą po tych krużgankach duchy świetnie zagranych ról... przez kogo zagranych? Przez tych, co teraz tutaj mieszkają, lub przez tych, o których tutaj się opowiada. Na ścianach portrety Bogusławskiego, Królikowskiego, Modrzejewskiej, a z najmłodszych gwiazd portret Poli Negri, która na międzynarodowym ekranie kinematograficznym rozsławiła polską sztukę dramatyczną śród obcych narodów po obydwóch stronach oceanu, wzruszając miljony ludzi, nie znających polskiego języka. Obok pani Mrozowskiej - Toeplitzowej księżna Negri Mdiwani należy do najhojniejszych ofiarodawczyń na rzecz skolimowskiego gmachu aktorskiego.

Ogromny hall podłużny tak jest budowany, aby mógł służyć jako widownia teatralna. Na początku i na końcu tego hallu znajdują się dwie estrady, z których jedna może być podzielona na loże lub na „balkon pierwszego piętra", druga zaś może być użyta jako scena teatru kameralnego. P. Jerzy Leszczyński, odwiedziwszy Skolimów, po powrocie z Biarritz, wpadł na żartobliwy pomysł stworzenia tutaj experymentalnego teatru i, z tym pełnym uroku dowcipem, który rozbraja najobraźliwsze powagi, zaproponował przy wspólnym obiedzie, oczywiście już przy deserze, wystawienie „Ślubów panieńskich" Fredry, w miejscowej obsadzie emerytalnej. Zanim jednak zgodzi się na to p. Siedlecka, p. Żołopińska, p. Sapalski i inni, w hallu wieczorami zasiadają pa-



Rozmowa z brytanem, który strzeże w nocy mienia i bezpieczeństwa artystów. Pawłowski i Marjusz Maszyński udzielają poczciwemu psu mądrych i zbawiennych wskazówek Fot. Jan Malarski



Na tarasie pałacyku Skolimowskiego. Wśród gości — Jerzy Leszczyński z małżonką, p. Pancewiczową, Marjusz Maszyński z rodziną, Zabiełło-Mazurkiewiczowa, Pawłowski, Stanisławski i W. Grubiński Fot. Jan Malarski

nie z robótkami szydełkowemi w ruchliwych rączkach, a pani Palińska manewruje aparatem radio.

— Warszawa. Koncert w Dolinie Szwajcarskiej. Dyryguje pan Mazurkiewicz.

Gdy pani Palińska probuje chwytać fale zagraniczne, ze wszystkich stron pcha się do Skolimowa natrętny niemiec — z odczytem o szkodliwości alkoholu. Tymczasem pani Sławińska, spędzająca tutaj rekonwalescencję przed wyjazdem do Lublina, do teatru miejskiego pod dyrekcją p. Grodnickiego, opowiada anegdoty. Co chwila rozlegają się salwy śmiechu. Stateczni emeryci już o godzinie dziewiątej znikają z hallu, natomiast młodzież artystyczna, która tu przybyła, jak do pensjonatu, aby łyknąć wiejskiego powietrza przez tydzień, lub miesiąc, aby odpocząć po turkocie miejskim, aby zobaczyć „wolną okolicę", nie namalowaną przez p. Frycza lub Drabika, siedzi nieco dłużej, gwarząc, niby przy kominku, przy eterycznych wrzątkach radioaparatu. P. Marjusz Maszyński tryska humorem, nawet przegrywając partję szachów do dyr. Wacława Nowakowskiego, pani Witoldowa Rolandowa, ułożywszy spać swoją romantyczną sześcioletnią Lalę (z którą w dzień wojuje po oficersku obrany Józio Mazurkiewicz), słucha opowiadania pani Maszyńskiej o Ewie, pięcioletnim żywym portrecie pana Marjusza (tylko na czarno, bo czuprynkę wzięła od mateczki):

— Dzisiaj tak się modliła Ewusia: „Proszę Boziuni o zdrowie dla tatusia, dla mamusi, dla Karoliny, dla Ewusi i dla much na lepie".

Rozweselona pani Zabiełło-Mazurkiewiczowa gubi oczko i upuszcza igłę, a pani Palińska woła o ciszę, bo zdaje się, że złapała operetkę budapeszteńską.

W dzień artyści rozpryskują się po okolicy. Niektórzy żałują, że Pałac Aktora nie posiada łódki, ponieważ nęci ich przejażdżka po burzliwych wodach Jeziorki. Kto wie, może na przyszły rok otrzymają kajak, albo motorówkę, od jakiego wielbiciela teatru. Królikowskiemu zapisała w testamencie kilka tysięcy rubli pewna pani „przez wdzięczność za doznane dzięki niemu wzruszenia". Może jaki bogaty teatroman, rozpromieniony na sztuce np. Zabłockiego, ofiaruje artystom mały yacht, nazywający się np. „Fircyk w zalotach".

Po pamiętnej burzy Elsynor otrzymał dwa piorunochrony. W ogrodzie, zresztą, nie zanotowano ani jednego złamanego drzewka, bo coprawda, jak już wspominałem, jest to jedyny ogród w Polsce, pozbawiony cienia. Nad tem właśnie debatował ostatnio pan prezes Śliwicki z panem Pawłowskim, poczem zakupiono w lesie kabackim trzysta pięćdziesiąt świerków, które otoczą Dom Aktora zwartą nieprzeniknioną ścianą.

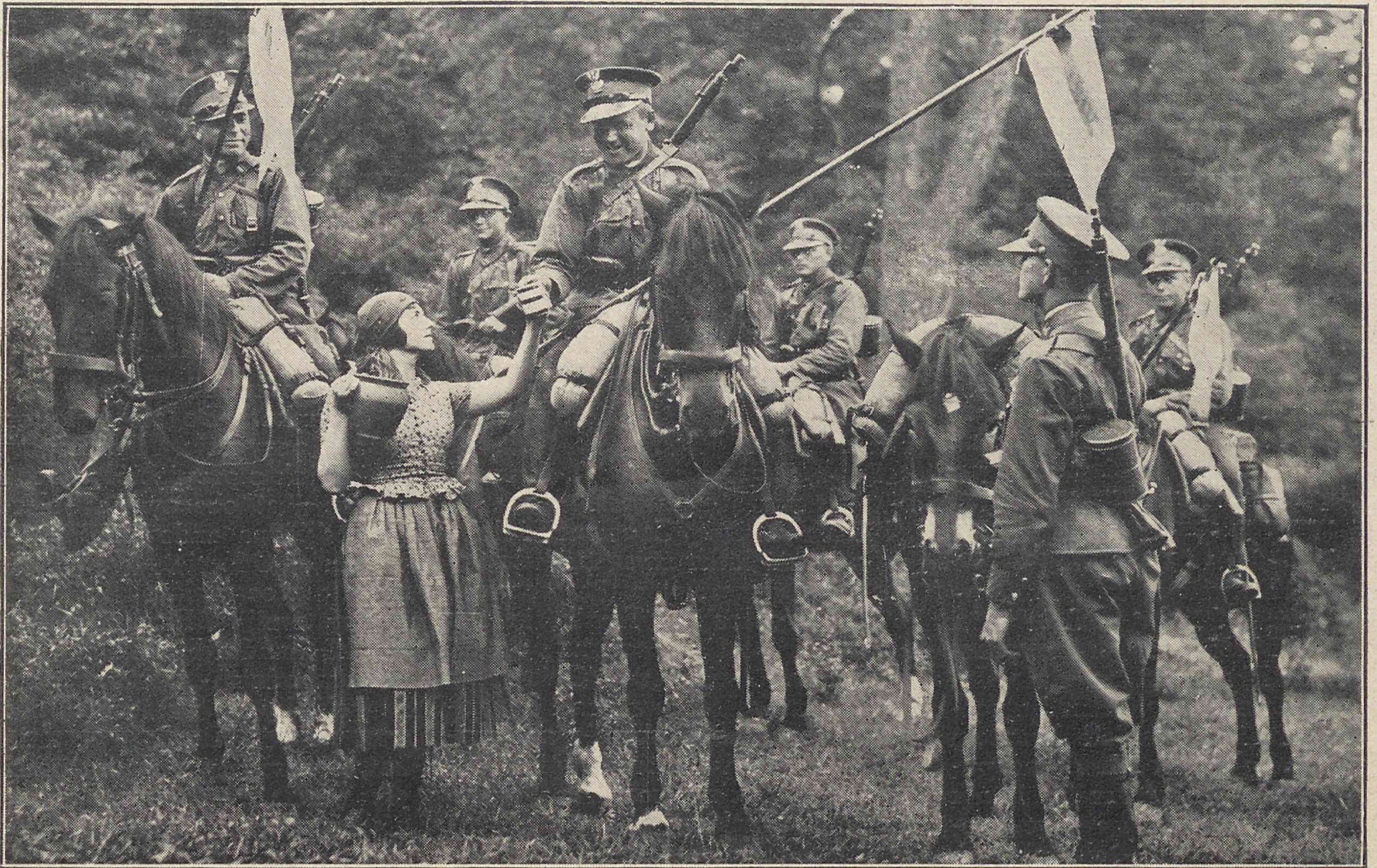
W każdym razie już dzisiaj można powinszować artystom scenicznym tego obszernego gmachu śród pól, nad rzeczką, w sąsiedztwie iglastego lasu, jako miejsca, dokąd może przyjechać choćby na kilkodniowy rzetelny wypoczynek zmęczona „Kobieta, która zabiła", zfatygowany „Otello", albo „szczęśliwy Franio". Po maleńkiem przesileniu na stanowisku gospodyni i pod czujnem okiem legata Zaspu, p. Jana Pawłowskiego, wpadającego tutaj często, niespodzianie, a lubiącego wszędzie zajrzeć, wszystko sprawdzić, o wszystko zapytać, tudzież umiejącego miejscowych funkcjonarjuszów natchnąć zamiłowaniem do wydajnej pracy, Elsynor skolimowski szczyci się wyborną kuchnią, uprzejmą służbą i stale zwiększającym się komfortem. Jest tam tak wygodnie i przyjemnie, że np. pan dyr. Józef Kotarbiński po odbytej kuracji w Truskawcu przybył z małżonką do Skolimowa i w ciszy nadjeziorańskiej spisuje pamiętne dla historji teatru krakowskiego dzieje swojej w tym teatrze kierowniczej działalności.

Tutaj odprężają się nerwy, tutaj jest rano kąpiel słoneczna, tutaj niema polityki...

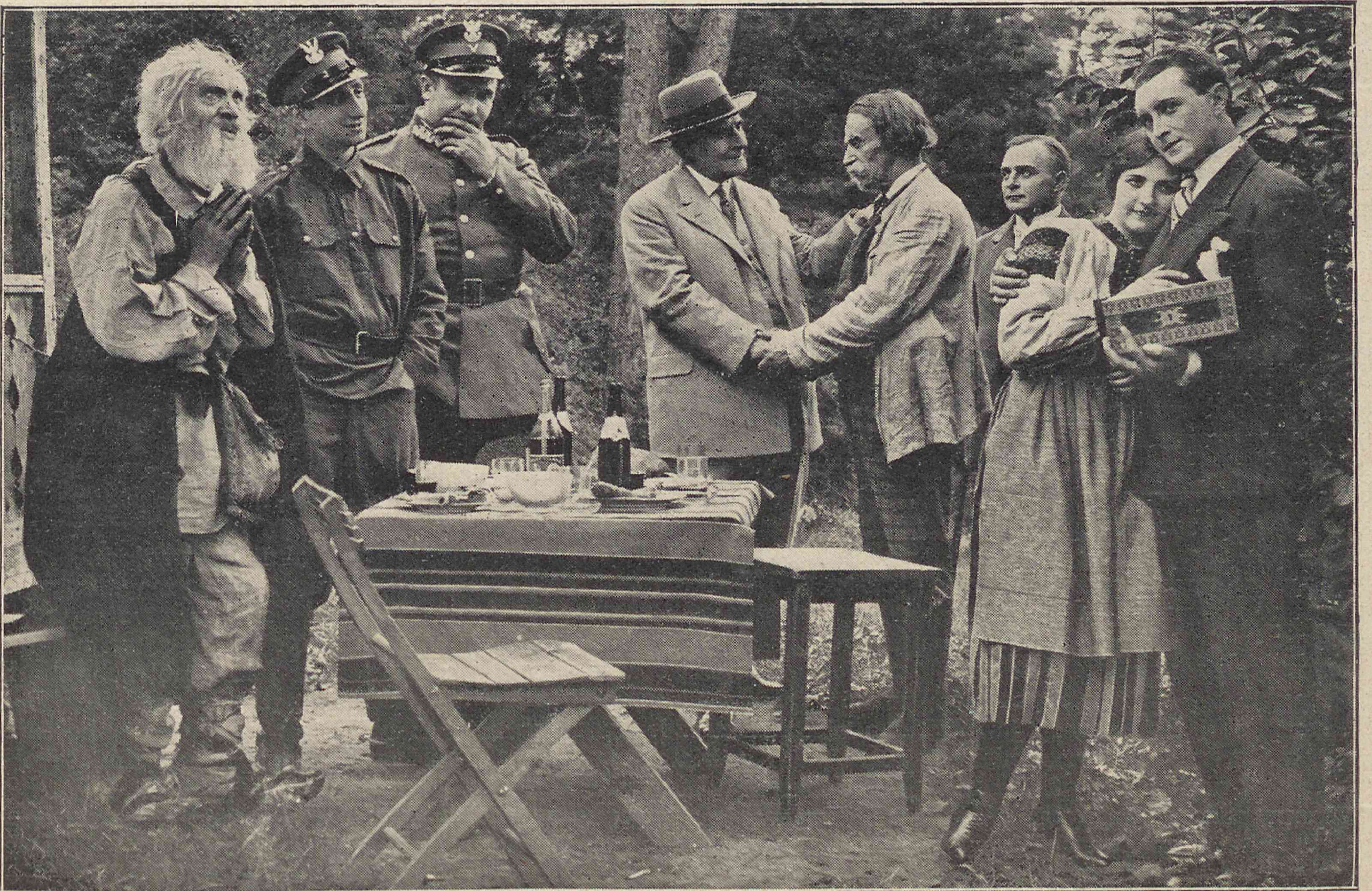
Wacław Grubiński

NOWY OBRAZ FILMOWY POLSKI

Znana wytwórnia kinematograficzna „Sfinks“ kończy nowy wielki obraz kinematograficzny, według scenarjusza Stefana Kiedrzyńskiego, p. t. „Tajemnica Rodu“. Reżyserję prowadzą dyrektor Teatru Narodowego, p E. Chaberski i najlepszy w Polsce operator filmowy, inż. Gniazdowski, przy pomocy pp. Szebeki i Krawicza. Najświetniejsze siły artystyczne biorą udział w wykonaniu, z pp. Smosarską i Gorczyńską, pp. Marem, Knake-Zawadzkim, Gawlikowskim, Walterem etc. Sensacją będzie pojawienie się na ekranie niezrównanego Krukowskiego z Qui pro Quo...



Jadwiga Smosarska w roli „Lydji“, podejmuje mlekiem szwoleżerów, że się chłopakom śmieją oczy do tego mleka, nikt się nie dziwi



Scena końcowa. Pojednanie się ks. Zawiłły (Knake-Zawadzki) z Szymonem Rybakiem (Gawlikowski). Opodal: Bednarczyk, jako Ławruk, Krukowski (tak jest prawdziwy najrzetelniejszy Krukowski z „Qui-Pro-Quo“ w roli „rezerwisty szwoleżera“), Walter (ten sam, z „Morskiego Oka“, świetny „sierżant Antoś“) i wreszcie urocza para kochanków, czarująca wiośnianym wzrokiem Smosarska i Marr, którego męska uroda ma tyle zwolenników

Na lądzie i w powietrzu

(Juljusz Meissner: Eskadra.—Stanisław Rembek: Nagan. — J. K. Maciejewski: Pograniczne ogniska).

Psychologja lotnicza nie różni się niczem od stanów duszy innych sportowych usiłowań. Można to stwierdzić, czytając wrażenia i przeżycia różnych powietrznych asów. Szeroka publiczność, uważając komunikację aeroplanową za objawienie odwagi, hazardu, szaleństwa, dowiaduje się z książek wybitnych lotników rzeczy niespodziewanych. Lotnicy traktują swój zawód bardzo rzeczowo. Nie uważają oni swoich wyczynów za fakty egzotyczne. Wsiadają i wysiadają z samolotu, jak z auta. Mają swoje drobne przesądy, zwyczaje, rytuały. I to nie jest dziwne.

Trzeba zauważyć, że zawodowcy w każdej gałęzi działalności mają swoje specjalne przyzwyczajenia, niekiedy nawet śmieszne. Jeżeli aktor przed wyjściem na scenę zabobonnie żegna się krzyżem świętym, by go bronił przed publicznością — to czemużby lotnik nie mógł mieć swoich zaklęć, modlitw, nabożeństw, chroniących przed katastrofą?

I ta cecha nie jest więc związana specjalnie z lotnictwem. Życie lotnicze, codzienne, nawet podczas bojów intensywnych, niezmienne, rozłożone na godziny, kwadranse drobnych a ważnych obowiązków, pokazał nam francuski lotnik Kessel w słynnej książce pt. „Załoga". Zrobiła ona wielu ludziom niespodziankę, a nawet przyniosła rozczarowanie. Chciano koniecznie, by bohaterzy powietrza żyli w nieustannem napięciu nerwów, z teatralnym gestem, elokwencją zawodowych chwalców cnoty. Kessel pokazał ich ze strony zwykłej, w pantoflach, pidżamach, z drobnemi przyzwyczajeniami, a nawet neurastenjami.

Polskie lotnictwo znalazło w p. Januszu Meissnerze swego literackiego specjalistę. Autor ten z zawodu jest oficerem naszej marynarki napowietrznej. Za zasługi lotnicze został odznaczony krzyżami „Virtuti Militari" i „Walecznych". Dał się chlubnie poznać, jako nowelista, a teraz sięga po laury na terenie powieściopisarskim. Wydał on książkę pt. „Eskadra", poprzedzoną wstępem pióra pułk. Rayskiego, szefa naszej aeronautyki. Pułk. Rayski podnosi walory lotnicze tej narracji. Dla nas jest to książka nietylko o specjalnym zakresie wrażeń, lecz wogóle powieść godna poznania.

Autor potrafił realne przeżycia lotnicze z czasów naszej wojny z bolszewikami powiązać z fantazją i zmyśleniem beletrystycznem tak plastycznie, że książkę jego czyta się, jak zwykłą zajmującą powieść. Nie potrzebuje ona wcale tłomaczeń, ani zastrzeżeń. Mówi się u nas często: rzecz jest fachowa, ale bez skrzydeł.

P. Meisner oprócz skrzydeł swego aparatu posiada skrzydła własnej duszy. Zapewne dałoby się uczynić kilka uwag pod względem rozbudowy tematu, rozwoju osób i wydarzeń. Trzeba jednak zważyć, iż jest to pierwsza powieść p. Janusza Meissnera. Opis raidu na Bobrujsk, lot Gierlicza i Szylinga na zwycięską walkę z aeroplanami bolszewickiemi, uwagi o Wirze i jej rodzinie pozostaną w dorobku literackim autora „Eskadry". Są to bezwzględnie udane partje powieści. Miła jest ona i z tego względu, że nie ma w niej modnej frazeologji, polowania na kwiatki stylu. Piękno słowa musi wykwitać zawsze z wewnętrznej jego treści.

Założeniom tym hołduje p. Stanisław Rembek, autor powieści pt. „Nagan". Jest on jednak konstruktorem rzeczywistości, którą przedkłada czytelnikowi. Potrafi tak ułożyć tok wydarzeń, że budzą grozę. Napięcie dramatyczne akcji umie stopniować. Indywidualizuje ludzi, a nawet, co jest rzeczą rzadką i cenną, wydostaje z ich serca tajemnice nastawień życiowych. Obdarza ich fermentem wewnętrznym, szukaniem uświadomień rzeczywistości.

Cechy te każą przypuszczać, iż p. Stanisław Rembek posiada wielkie możliwości rozwojowe w beletrystyce. Wnikliwy jego talent nie poprzestaje na obserwacjach zewnętrznych, szuka spoideł wewnętrznych i ma odwagę przetwarzania przeżyć na nową, samoistnie skonstruowaną rzeczywistość. „Nagan", jako powieść, osnuta jest na epizodzie walk naszych nad Berezyną w r. 1919. Cenne w niej i artystycznie ważne są spoidła fabuły smętnej, tragicznej. Przeciętny czytelnik woli książki o szczęśliwych rozwiązaniach. P. St. Rembek zachował kulę w „Naganie" dla swego bohatera Pomianowskiego: nic mu nie zostało w życiu; cel zewnętrzny istnienia po wieści o śmirci Marysi również zginął. Pesymistyczna filozofja tego młodego a nawet młodzieńczego porucznika odpowiednia jest do jego wieku. Gdyby dojrzał więcej wewnętrznie — napewno potrafiłby znaleźć możliwości egzystencji, odkryłby sens wielu rzeczy, które wydawały mu się bez treści.

Mówi o tem powieść pt. „Pograniczne ogniska" pióra p. Jerzego Konrada Maciejewskiego. Jest to właściwie kronika życia pewnego p. Szymka. Bogate było ono w różne perypetje. Poznajemy się z nim, jak z przyjaciółką Sonią vel Zochą, jest obecny na bolszewickiem propagandowem przedstawieniu w Odessie. Wstępuje później „dla ocalenia siebie" do czerwonej armji. Przedziera się do Polski, handluje, żeni się i osiada na wschodnio - północnej rubieży na roli, by tu wzmocnić sobą żywioł polski. Powieść ta daje ciekawe szczegóły z życia osadniczego. Niełatwe to życie a często i niebezpieczne. Zakosztuje go Szymek — pionier. Orząc — ziemię, trafi na stary, porzucony granat. Rozerwie on konie, a Szymkowi zada dotkliwy cios w rękę.

W żmudnej, twardej pracy, mimo przeciwieństw, niema czasu na pesymizmy. Nie pomogą filozofje, gdy życie woła o trud...

W powieści p. Maciejewskiego i epizod z pobytu Szymka w czerwonej armji zasługuje na uwagę. Ekspedycja karna na „zbuntowaną wieś" mrozi krew w żyłach. Bestjalstwo przeraża swoim realizmem...

„Pograniczne ogniska", jako powieść dla szerokich mas czytelniczych, zasługuje na wyróżnienie. Znaleźć w niej można bowiem i wrzenie ideologji, które teraz w umysłach niekrytycznych wywołują zachwyt. Autor przez usta Szymańskiego daje odprawę tym wschodnim inspiracjom.

Osadnictwo wymaga energji, wytrzymałości i celowości wysiłków. Jest to praca na ziemi nieefektowna, lecz jakże potrzebna! Bohaterstwem życia osadniczego nazywać nie należy, bo pokolenie wyrosłe z wojny nie lubi tego określenia.

Na lądzie czy w powietrzu spełnia swój obowiązek i to jest największą jego chwałą.

Eustachy Czekalski

G. PAYTAVI DE FAUGÈRES

Wrażenia francuza z Polski

II.

W pierwszem zetknięciu się z Warszawą doznałem wstrząsających uczuć. W wieżach barokowych, wzbijających się ku niebu, tego dnia bezchmurnemu, w murach Zamku Królewskiego, sąsiadującego z kolumną, na której Król Zygmunt dzierży krzyż i miecz, panując nad Starem miastem, tulącem się do Fary, w pobliskim biegu Wisły, o falach bladych i gładkich, Warszawa objawiła mi nieco ze swej duszy, mistycznej i żarliwej, odbijającej cząstkę minionej wspaniałości... W echach tych było coś z muzyki marzycielskiej, drgającej hamowanym zapałem, który, — zdawało się — wybuchnie jeszcze tego samego wieczora.

Nie miałem jednak wiele czasu na przechadzkę po ulicach miasta i na ich obserwację, chociaż widok ulic mógłby być dla mnie pouczający, rewelacyjny, i pełen napięcia uczuciowego.

O samych budynkach, niekiedy bardzo pięknych, nie miałbym wiele do powiedzenia, gdybym w końcu i w nich nie odkrył duszy symbolicznej.

W najstarszej dzielnicy miasta, której uliczki wąskie i zaniedbane zbiegają stromo ku Wiśle, są domy, których mury zniszczone, przepojone jakby zmęczoną godnością, nakazują szacunek i przejmują zarazem bólem. Inne, o sklepieniach niskich, wznoszących się tuż nad przechodniami, zachowały dostojeństwo wielkiej przeszłości lub wdzięk minionych czasów. Wyczuwa się, choć wieki wycisnęły na nich niezatarte swe piętno, że życie w tych domach płynęło niegdyś słodko. Piękno, nieco zmanjerowane XVIII w., ozdabia je i pieści, jako pozostałość po ludziach wytwornych. Okna ich zdobi geranjum, dodając do obrazu ulicy, w czasie ciepłego lata, barwy zielone i różowe.

Bywają domy inne, wzdłuż ulicy „Nowy-Świat", jednej z najbardziej ruchliwych, jednopiętrowe, nakryte dachem spadzistym z dachówek pociemniałych od długich deszczów i śniegów, wyprażonych na palącem słońcu. Domy te są, jak rzeczy napoły umarłe, i przywodzą na pamięć przeszłość.

Przeszłość ta przynosi nam cuda: pałace o fasadach rokokowych, które długo drzemały i kryły się przed groźbą najeźdźcy, a które zmartwychwstanie Polski od lat kilku przywróciło do życia. Nie mogę ich wymienić wszystkich, ale widzę jeszcze we wspomnieniu pałac Potockich, który musiał być naprawdę wspaniały za czasów królów elekcyjnych, za czasów Stanisława Augusta, którego dwór słynął z przepychu. Pałac ten, oddzielony od ulicy wysoką kratą złoconą, nawet po odrodzeniu państwa polskiego czuje się obco w teraźniejszem otoczeniu i wygląda, jak ubranie galowe, o wiele za obszerne na osobę, która je przywdziała.

Stanowi to zresztą jeden z czarów tego miasta, które ich kryje bardzo wiele, że przeszłość jest w niem niejako skrystalizowana, że lata, a nawet wieki przestały znaczyć tu swoje kroki na zegarze czasów, i że rzeczy dzisiejsze, wczorajsze i onegdajsze trwają obok siebie, nie mieszając się... Spieszcie zobaczyć to zjawisko, które zniknie niebawem, gdyż miasto się modernizuje. Oto okup za odzyskaną wolność i niepodległość...

Upłynie jeszcze lat kilka i, obawiam się, że mało pozostanie z Warszawy w. XVIII, którą malował Canaletto, utrwalając jej koloryt rodzimy na płótnach, podziwianych w salach Pałacu Królewskiego.

A jednak coś zostanie: kościoły. Te kościoły o stylu, przypominającym architekturę jezuicką, jaką przedstawiają w Rzymie dumne, olbrzymie gmachy świątyń Jezusa i Św. Ignacego. Styl ten popowoli zaklimatyzował się w Polsce, zlał się z tutejszym krajobrazem, dostraja się do zrezygnowanej melancholji ludzi. Tu bowiem wśród murów, które z trudem tylko mieszczą wiernych podczas nabożeństw, Polacy prześladowani chronili wiarę swą i miłość Ojczyzny, ściśle ze sobą spojone.

I gdy w smutny wieczór dzwony głoszą pozdrowienie anielskie, z dźwięku ich płynie poezja, nauka i nadzieja, z których, jako zbyt obcy jeszcze duszy narodu polskiego, zrozumiałem i oceniłem tylko, jak sądzę, powagę zewnętrzną, nie mogąc uchwycić wszystkich ich głosów tajemnych.

* * *

W Polsce nie czułem się obcym, gdyż tam każdy Francuz jest, jak w domu.

Mówiono mi wiele o Francji i przypominam sobie wzruszenie, z jakiem pochyliwszy się nad grobem Nieznanego Żołnierza, strzeżonym niejako przez konny posąg Poniatowskiego, panujący nad całym placem sąsiednim, dostrzegłem malutki sztandar amerykański, złożony tam przez turystów, a nie dojrzałem barw francuskich. Nazajutrz, zaopatrzywszy się w sztandar trójkolorowy, mało co większy od gwiaździstego, umieściłem go dyskretnie na płycie grobu, pod życzliwem spojrzeniem warty, która stanęła na baczność i sprezentowała broń... Był to gest samorzutny i symboliczny niejako, chciałem bowiem w nim widzieć pozdrowienie Polski dla Francji, swej starszej siostry, u grobu żołnierza, który przelał krew swą dla tej samej świętej sprawy.

* * *

Muszę tu uczynić wyznanie. Wielu Polaków i Polek skarżyło się wobec mnie na rażący nieraz brak orjentacji pewnego odłamu opinji francuskiej w sprawach Polski. Pewna dama z arystokracji, świetnie władająca naszym językiem i znająca wszystkie jego najdrobniejsze subtelności, wymieniała mi pisarzy francuskich, których nieznajomość tego, co polskie, nic by nie szkodziła, gdyby jej jakby umyślnie nie ujawniali w swoich pracach z nieświadomością zdumiewającą.

Pośpieszyłem z odpowiedzią, że obok tych pisarzy źle poinformowanych są i inni, którzy kochają Polskę, znają ją doskonale i chętnie oddają jej sprawiedliwość.

Rozmowa ta toczyła się w jednej z alei parku Łazienkowskiego, w sąsiedztwie pałacu króla Stasia, gdzie wokoło wodotrysków i wśród krzaków pląsają jeszcze powiewne boginki z XVIII stulecia. I wspólnie budziliśmy pamięć dni pełnych chwały, budziliśmy cienie tej córy Polski, Marji Leszczyńskiej, która włożyła na głowę koronę Francji i była małżonką — nie zawsze szczęśliwą — króla zwanego „Ukochanym".

Przeżyłem w Warszawie dni cudowne, ale niestety zbyt krótkie. Niektóre wieczory, ciepłe i różowe, usposabiały mnie do rozmyślania nad symbolizmem Wisły — „Wiernej rzeki", jak ją nazywa Żeromski.

Opuściwszy Zamek Królewski, którego komnaty — niestety po części zniszczone — przebiegałem, oparty o parapet mostu żelaznego, wiodącego na przedmieście Pragi, wsłuchiwałem się w szum wody, rozbijanej przez koła statków, płynących w dół rzeki, w kierunku Bałtyku. Szum ten miarowy znaczył rytm moich myśli... Tu i ówdzie zapalały się światła na barkach, przymocowanych do brzegu albo płynących środkiem koryta, a odblask tych świateł drgał słabo na wodzie. Gorączkowa wrzawa dużego miasta ucichała się, cała historja jego nadziei, jego walk i rozczarowań płoniła się w złotych literach na powolnym biegu Wisły. Poprzez te zjawy miłe i malownicze, które powoli stawały się dla mnie coraz bliższemi, Polska ukazywała mi się żywa i zrozumiałem, że wody poważne i uporczywe tej rzeki, która niosła na sobie wieki wspomnień, symbolizowały niezłomną wolę tego narodu, spokojnego i wytrwałego, który, po długich latach niewoli, rozerwał wreszcie swe pęta.

(Dok. nast.).



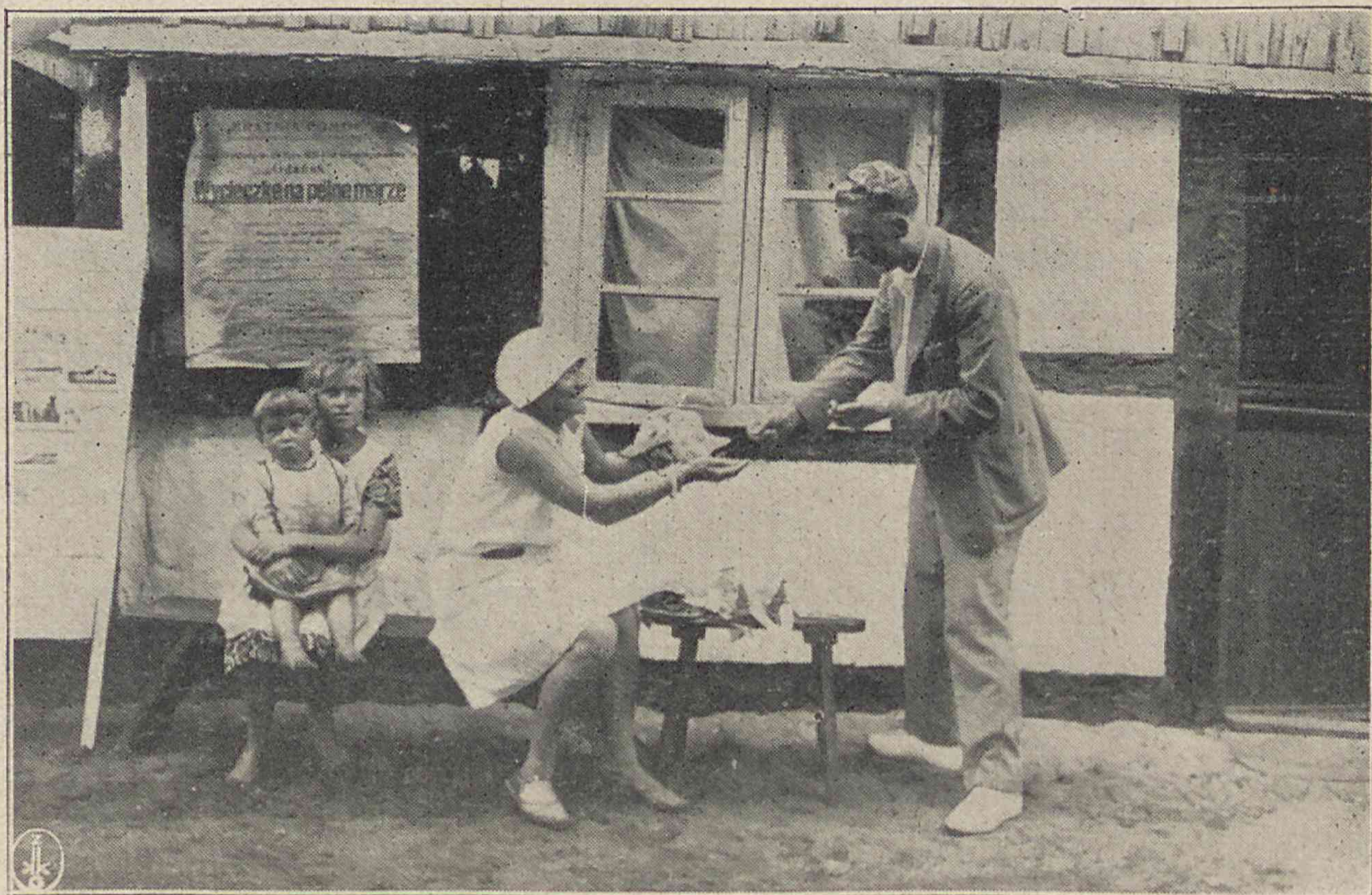
(Z pamiętników gościa)

PONIEDZIAŁEK.

Hel jest cudowny. Ten wybór mórz jest rozczulający. Przyszło mi na myśl, patrząc na te dwa morza, tak nic nie podobne do siebie, że przyjemnie byłoby mieć takich dwóch mężów żyjących w zupełnej zgodzie ze sobą. Jednego łagodnego ciepłego ślamazarę o bardzo spokojnym temperamencie, jak pełne morze zasłonięte półwyspem od wiatrów, a drugiego ognistego bałwana zmiennego i burzliwego, jak morze od strony zatoki. W każdym razie, gdy moja szafa z szafy prestidigitatora, która otwiera się wtedy, kiedy się ją zamyka, a zamyka się wtedy, kiedy się ją chce otworzyć, nie zamieni się na normalną szafę, a łóżko z deski fakira nie zamieni się na zwyczajne łóżko, to będę mieć kłopot z wyborem morza do mojej ostatniej morskiej podróży w tem życiu. Jedno morze pachnie jodem i śledziem, drugie nęci bałwanami i stojącą w przystani „Jadwigą". — Jadwiga jest to okręcik pasażerski, niewiele co większy od córeczki Marszałka i dlatego zapewne nazwany jej imieniem. Na Helu do szyku należy być brudnym, jak kominiarz. Na świeżo przybyłego czystego jeszcze gościa spoglądają heleni z odrazą. Dobrze widziane są zgrzebne gołe nogi koloru ziemi, odziane w stare pantofle tenisowe w czarny desenik. Właściciele pensjonatów przyczyniają się w dużej mierze do rozpowszechniania tej zdrowej skądinąd mody (brud nie dopuszcza do skóry zarazków), wydzielając gościom ciepłą wodę w minimalnych ilościach (po garnuszku na głowę)... W kochających się rodzinach wszyscy ceremonjują się i częstują się nawzajem małym dzbankiem ciepłej wody koloru bursztynowego, przyczem nierzadko się widzi piękne odruchy prawdziwego poświęcenia. „Bierzcie, bierzcie", mówi matka do dzieci, odwrócona w stronę okna, żeby nie było widać łez w jej oczach. — „Ja nie lubię ciepłej wody!"... Jedna z moich znajomych w obecności pensjonatowego zarządu udała, że mdleje i zawołała gasnącym głosem WODY!... nie obliczyła się jednak z tem, że zemdlonego zlewają zwykle zimną wodą a nie gorącą. Czasem, chociaż wiem, że to bardzo brzydko z mojej strony, miałabym ochotę jedno z mórz zamienić na dużą łazienkę z ciepłą wodą i wszystkiemi miłemi dodatkami. Swoją drogą ludzie troszeczkę przesadzają z temi ciągłemi zachwytami na temat morza; przecież w gruncie rzeczy nie jest to nic innego, jak płynna słona śmierć tuż pod nosem.

WTOREK.

Miałem kiedyś, dosyć dawno już temu, okropny sen: śniło mi się, że wyszłam na krakowskie błonia zupełnie bez niczego, tylko w pantoflach i z parasolką. Gdy napotkany znajomy zapytał mnie, dlaczego to robię, odpowiedziałam mu bez wahania, że robię to dla zdrowia. Jednak w połowie tego hygienicznego spaceru uczucie wstydu wzięło górę nad poczuciem higjeny i siłą woli przebudziłam się z tego niesmacznego koszmaru. Nie myślałam wtedy, że mój sen zrealizuje się, i że kiedyś będę spacerować prawie bez niczego w gronie równie lekko jak ja ubranych matron po uliczkach Helu, tej perły naszego wybrzeża. Wprawdzie ta perła jest czarna z powodu węglowego miału, który nie wiem dlaczego pokrywa grubą warstwą uliczki i dróżki, ale niemniej jest ona bezcennym klejnotem, który znaleźliśmy na szyji odgrzebanej z popiołów Polski. Wyjście w pyjamie do restauracji na śniadanie albo zgoła w przewiewnym deshabillu nie dziwi tu nikogo; zato nieprzyzwoicie wygląda dama, która włoży na siebie pończochy i kapelusz. Prawie gołe girlsy, w kolorowych beretach, wytykają palcami ubraną od stóp do głów osobę i chichoczą w opalony kułak. Boję się, że taki pobyt na Helu cofnie naszą kulturę wstecz do najdawniejszych czasów, kiedy to czczono słońce, księżyc i wodę, kiedy o ondulacji nie było mowy, a człowiek ubrany w tailleur z liści nie mył się nigdy. Nie wiem, czy wróciwszy do miasta, będę potrafiła wejść w pończochy, kapelusz i suknię i czy będę odczuwała potrzebę gorącej kąpieli w wannie. Każdy z nas ma tendencję do zrzucenia z siebie wszelkiej kultury i dlatego czujemy się wszyscy tak świetnie na Helu. Niektórym zakochanym wydaje się w Krakowie lub w Warszawie, że Hel jest jakąś odludną półwyspą, na końcu świata, gdzie można zamieszkiwać we dwoje w rybackiej chałupie i leżąc na pustej plaży, rozmyślać o niewinności chrabąszczy i prawdziwej miłości. Człowiek w ich mniemaniu żyje tam tylko po-



Sprzedaż flądег

całunkami i rybami; mięso i znajomi nie dochodzą tam nigdy, zaś pełne morze spienione i groźne szumi dziko nad splecionemi głowami zakochańców. Tymczasem jest wprost przeciwnie. Nigdzie na świecie nie spotyka się tylu znajomych, co na Helu. Dawno zapomniane przyjaciółki, które zdążyły przez tych kilkanaście lat rozłąki obrodzić wspaniale, włóczą się z dziećmi po piaszczystych wydmach i niesłuchane przez nikogo prawią dzieciom bajki po francusku. Po plaży czołgają się opaleni na czarno krewni z wszystkich stron Polski. Zaś dzikie pełne morze, po którym sobie zakochani obiecywali wiele silnych przyrodniczych wrażeń, jest, jak wiemy wszyscy, spokojne i łagodne, jak śpiące niemowlę. Bałtyk, sądząc po menu w mniejszych pensjonatach, nie jest wcale siedzibą ryb, ale gniazdem wołów, cieląt, świń i o nieokreślonym smaku wilków morskich. Kurczęta, kaczki i jaja nie pływają niestety po naszem morzu; jest ono ojczyzną jedynie zwierząt ssących. Z ptaków mamy tu tylko mewy, które jak małe hydroplany siadają na wodzie, lub całą eskadrą lecą za okrętem.



Zabawa w piasku

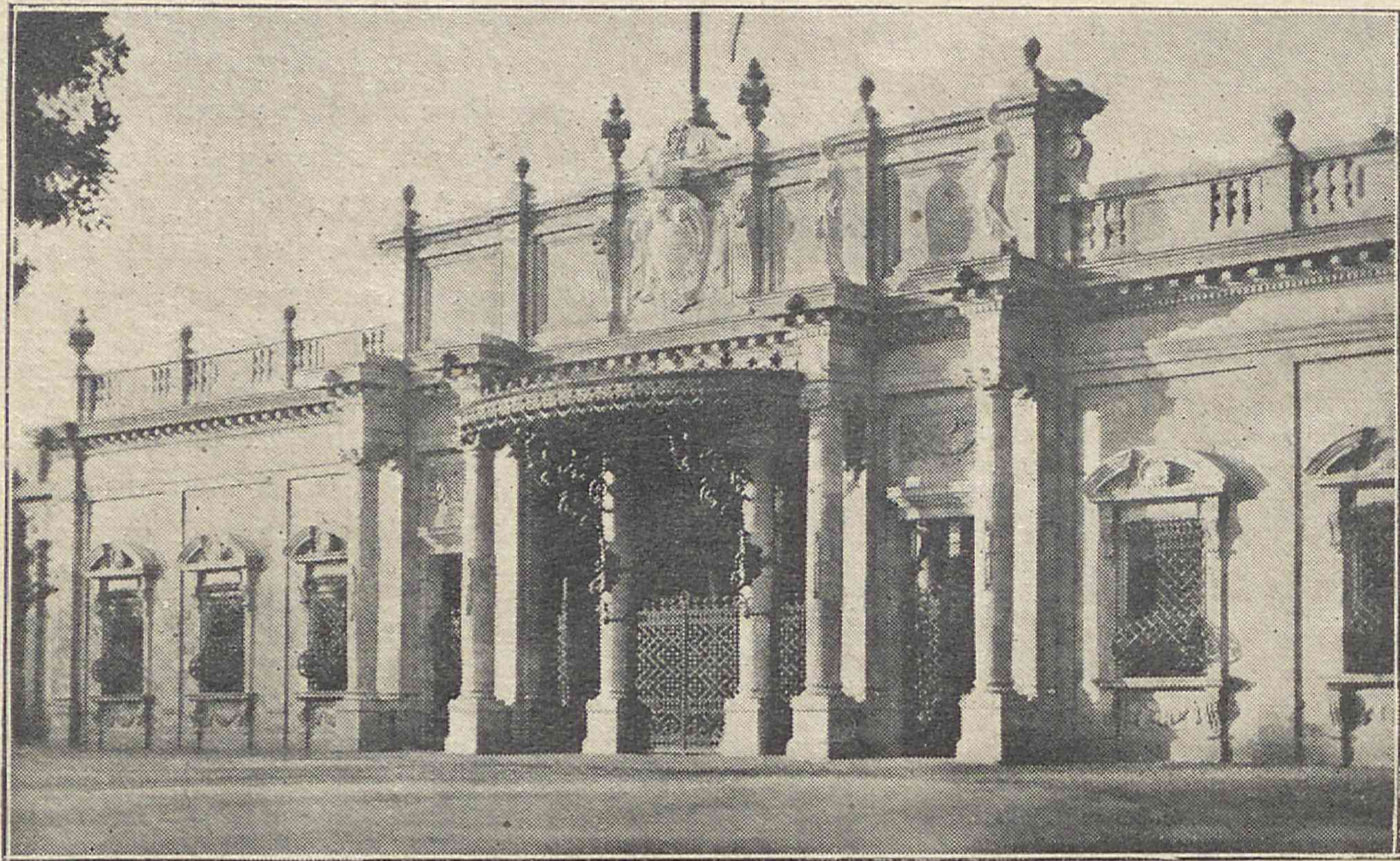
ŚRODA.

Jedną z najbardziej rozczulających rzeczy na Helu są ogłoszenia, które sobie goście przylepiają na drzewach. Na jednem drzewie przed willą widnieje napis groźny w treści: „Uwaga! — Tu jest pies, który gryzie!" — Jest to świetny sposób na wierzycieli i jak wrócę do Krakowa, nie omieszkam go skopjować. Jedna z moich przyjaciółek chce przed swoją willą, idąc za dobrym przykładem, wywiesić ostrzeżenie: „Uwaga! Tu jest pchła, która gryzie!" — A jednak pomimo wszystko, co piszę, nie jest mi tu źle, woda morska zmywa z człowieka wszystkie sentymentalne smutki, a nieznośne miejskie kłopoty, przywiezione z miasta w pudełku od kapeluszy, słońce spala na popiół. Stosunek właścicieli pensjonatów do gości też jest lepszy, niż przypuszczałam, w każdym razie lepszy, niż w kochanej Gdyni. Są to także ludzie, którzy tak samo, jak my, tęsknią do wygodnego łóżka, do wanny przyznają nam rację i są tak samo przygnębieni od czasu do czasu, jak my. Plaża na Helu, ta najswobodniejsza plaża na świecie, gdzie ludzie jak w raju chodzą zasłonięci jedynie jakąś blagą, tylko że nie z liści lecz z trykotu, posiada bardzo nieznaczną ilość ostrzeżeń i zakazów. Tuż przy brzegu naprzykład jest głębia, świetna dla wahających się samobójców, bo samemu się nie wie, kiedy się w nią wpada, nie strzeżona żadnym napisem, ani „bade-dziadem" z łódką. Mam wrażenie, że jest to pułapka na ludzi, żeby nasze ryby były tłuściejsze i bardziej esencjonalne. Zato bardzo pilnie strzeżone są trawy rosnące na wydmach. Bo i co za porównanie! Trawy są i ozdobne i potrzebne, a ludzie w tak wielkich ilościach nie są ani ozdobą plaży, ani jej nie są na nic przydatni. Przeciwnie, szpecą ją i zanieczyszczają, wtykając w nią z pasją niedopałki z papierosów, lub pestki od wisien, prawdopodobnie z myślą, żeby na plaży na przyszły rok wyrosły kwiaty tytoniu i wiśniowe drzewka. Nigdzie na świecie nie widziałam tak smutnych i zgnębionych policjantów, jak tutaj. Bo i jakże tu istnieć w miejscowości, gdzie niema prawie żadnych tablic, gdzie publiczność na plaży ściąga bezkarnie przez głowę suknie i pantalony, by w cieniu kosza nie śpiesząc się wdziać kostjum kąpielowy, gdzie jest uwzględniona bezpłatna nauka prawidłowego topienia się, a gdzie zakazanem jest tylko chodzenie po wydmach i bieganie gołych dzieci po piasku. Ponieważ wspomniane wydmy są oczkiem w głowie Helu i jej chlubą, więc bezrobotni policjanci, schowani w trawach, czyhają na przestępców, którzy śmią się sprzeciwiać zakazowi chodzenia po nich.—„Nie wolno ale chodzić po widmie!" wołają groźnie policjanci piękną polszczyzną. Nieraz się zdarza, szczególniej na seansach, że widmo chodzi po ludziach, ale żeby ludzie chodzili po widmie, to może się zdarzyć jedynie na Helu. Co do przyjemności i zabaw, to ma ich Hel poddostatkiem. Przedewszystkiem największą atrakcją jest bezsprzecznie „Lwia Jama", która odznacza się zupełnym brakiem lwów, ale która zato bardzo jest uczęszczana przez lwice o bujnych grzywach, złapanych w kolorowe siatki. Nieliczni pogromcy karmią lwice surową szynką i rybami. Gdy funkcja karmienia zostanie ukończona, pogromcy porywają tresowane lwice w dziki tan, do którego przygrywa prawdziwa kocia muzyka. Pod koniec dancingu w lwiej budzie zjawia się zwykle najgłówniejsza atrakcja. Jest nią banda piratów, która według mojego przypuszczenia grasuje po Bałtyku, czyhając na to, że prędzej czy później odważny statek Gdynia rozbije się o ich miny. Herszt bandy pirackiej jest kobietą i w tem leży największe niebezpieczeństwo dla załogi statków kursujących między Gdańskiem a Helem, ponieważ, jak wiadomo, załoga okrętów składa się z samych mężczyzn. Kobiecy herszt jest młody i demoniczny; nosi on długie zielone szarawary do kostek, biały sweter przepasany szarfą, u którego błyska prawdziwy sztylet. Zimno się robi, patrząc na to młode dziewczę, które bawiąc się od niechcenia sztyletem, robi krwawe oko przerażonym gościom. „Newer in England!", pomyślałby, patrząc na nią ze zgrozą anglik; ale na szczęście niema go na Helu. Druga atrakcja — to przyjazd do przystani statku Gdańsk. Goście, którzy mają szczęście znajdować się na pokładzie tego okrętu, wiedzą już, co ich czeka, gdy statek przybije do przystani. Oto z uliczek i zaułków Helu pędzi na nich wyjąca banda tubylców, która w krótkim czasie zdobywa okręt, depcząc i tratując nieszczęśliwych podróżników. Powodem napadu tej tłuszczy jest dancing w barze okrętowym. A jednak gdybym miała sobie gdziekolwiek nad morzem kupować grunt i budować willę, to bym napewno wybrała Hel z jego dzikością, swobodą, drzewkami, jak z japońskich sztychów, i splendorem pełnego morza.



Kobiecy herszt na plaży

Hel. *M. Samozwaniec*



Brama wejściowa: Tettucio

Montecatini, perła wód italskich

Nieraz już pisano o Montecatini, nieraz zachwycano się pięknem jego położenia wśród zielenią i kwieciem pokrytych wzgórków toskańskich, nieraz już sławiono dobroczynne skutki jego wód, nieraz unoszono się nad doskonałemi urządzeniami tego przemiłego uzdrowiska, odwiedzanego dość licznie przez Polaków, korzystających tu z opieki i życzliwości doktora Landaua.

Dziś pod świeżem wrażeniem pobytu w tej malowniczej i kwiecistej dolinie toskańskiej Valdinievole, tak bogatej nietylko w strzeliste, poważne cyprysy, rozłożyste pinje i majestatyczne platany, w oleandry, obsypane różowem kwieciem, w smętne magnolje o białych wstydliwych pąkach kwiatowych, w barwne hortensje i jasne rododendrony, — ale też w piękne rozłożyste i pierzaste palmy, w najrozmaitsze gatunki kaktusów a nawet w bambusy — chciałabym obok piękna położenia i doskonałych skutków kuracji przypomnieć pokrótce dzieje tego już na świat cały słynącego uzdrowiska italskiego!

A chwila jest tem odpowiedniejsza, że właśnie niedawno odbyła się w obecności księcia Udine, przedstawiciela rządu i mnóstwa wybitnych osobistości uroczysta inauguracja przebudowanego świetnie Zakładu „Tettuccio", i nowego stabilimento „Regina", które są dziełem znanego architekta, Hugona Giovannozi.

Montecatini - Bagni leży u stóp wyniosłego Montecatini - Castello, z którego roztacza się wspaniały widok na okoliczne wzgórza, pokryte pełną radości winną latoroślą i srebrzystą oliwką.

Pierwsze, pewne wiadomości o Montecatini, o którem wiedziano niezawodnie już w starożytności, znajdujemy w dziełach slynnego w czternastym wieku lekarza Ugolino da Montecatini, który sławi skutki lecznicze tych wód i zaleca przebudowę Bagno Novo, dzisiejszego wspaniale skonstruowanego źródła „Tettuccio". Dopiero jednak pod koniec wieku piętnastego Republika florentyńska, ówczesna pani Montecatini, przeznaczyla znaczne sumy na przebudowę źródeł i łazienek. Ale wśród ustawicznych walk Gwelfów z Gibelinami, których widownią w wielkiej mierze było też Montecatini, piękne plany spełzły na niczem, uzdrowisko zupełnie podupadło, a Medyceusze zburzyli jeszcze w dodatku Castello, którego ruiny oglądamy po dzień dzisiejszy.

Dopiero w wieku osiemnastym Wielki książę toskański Leopold I. zajął się odbudową Montecatini; wówczas to powstały slynne Termy Leopoldyńskie. Książę założył też istniejący jeszcze hotel „Loccanda Maggiore" i wykreślił plan parku i otoczenia źródeł i łazienek bujną zielenią i kwieciem, co dziś jeszcze budzi podziw kuracjuszów. Wegetacja Montecatini posiada bowiem ustaloną sławę, ale ile starań i troski poświęca się kultywowaniu ogrodów i alei montekatińskich, oceni należycie tylko ten, kto codziennie patrzy na pracę dziesiątek ogrodników, poświęcających się z zamiłowaniem i znawstwem swemu zawodowi.

Od czasów księcia toskańskiego Montecatini stale wzrasta, a w ostatnich dwudziestu latach wzbogaciło się tak dalece w nowoczesne urządzenia lecznicze i w doskonale prowadzone hotele z wykwintnym „La Pace" na czele, że stało się jednem z najszykowniejszych uzdrowisk światowych.

Obok piękna położenia i pobliża takich środowisk sztuki, jak Pistoja, i Lucca, i Florencja, i Piza, obok pobliża Viareggio, najpiękniejszej i najludniejszej plaży nad morzem liguryjskiem, posiada Montecatini jeszcze tę wielką zaletę, że jest dostępne „pour toutes les bourses". Albowiem obok ogromnych, wykwintnych Zakładów: Tettuccio, Regina, Torretta i Tamerigi — istnieje Zakład ludowy, Stabilimento popolare „Salute", położony również wśród ładnego ogrodu i tu za cenę znacznie niższą można odbyć kurację picia wód, za które opłata w głównych źródłach jest istotnie dość wygórowana.

Oprócz tego Zarząd Montecatini w słusznem zrozumieniu dobroczynnych skutków swych wód otworzył w czasie wojny Zakład bezpłatny dla biednych, potrzebujących leczenia, gdzie przesuwa się w sezonie letnim, tym włoskim, bo cudzoziemcy przyjeżdżają na wiosnę lub w jesieni — około 20.000 osób dziennie. Za ten tak estetycznie i wygodnie urządzony Zakład, dający nawet najuboższym Włochom możność leczenia się, należy się Zarządowi wód Montecatini szczególne uznanie.

Zarząd wód Montecatini, który ciągnie spore zyski z eksportowania soli leczniczych i wody „Regia" — dba w dużej mierze o rozrywki dla kuracjuszów; nie brak tu koncertów i dancingów i przedstawień teatralnych w dwóch bardzo ładnych budynkach teatralnych, przez które w ciągu sezonu przewijają się najlepsze komedjowe zespoły italskie, a więc bywa tu słynna Dina Galli, bywa Falconi, Gandusio, Musco i inni najwybitniejsi aktorzy italscy.

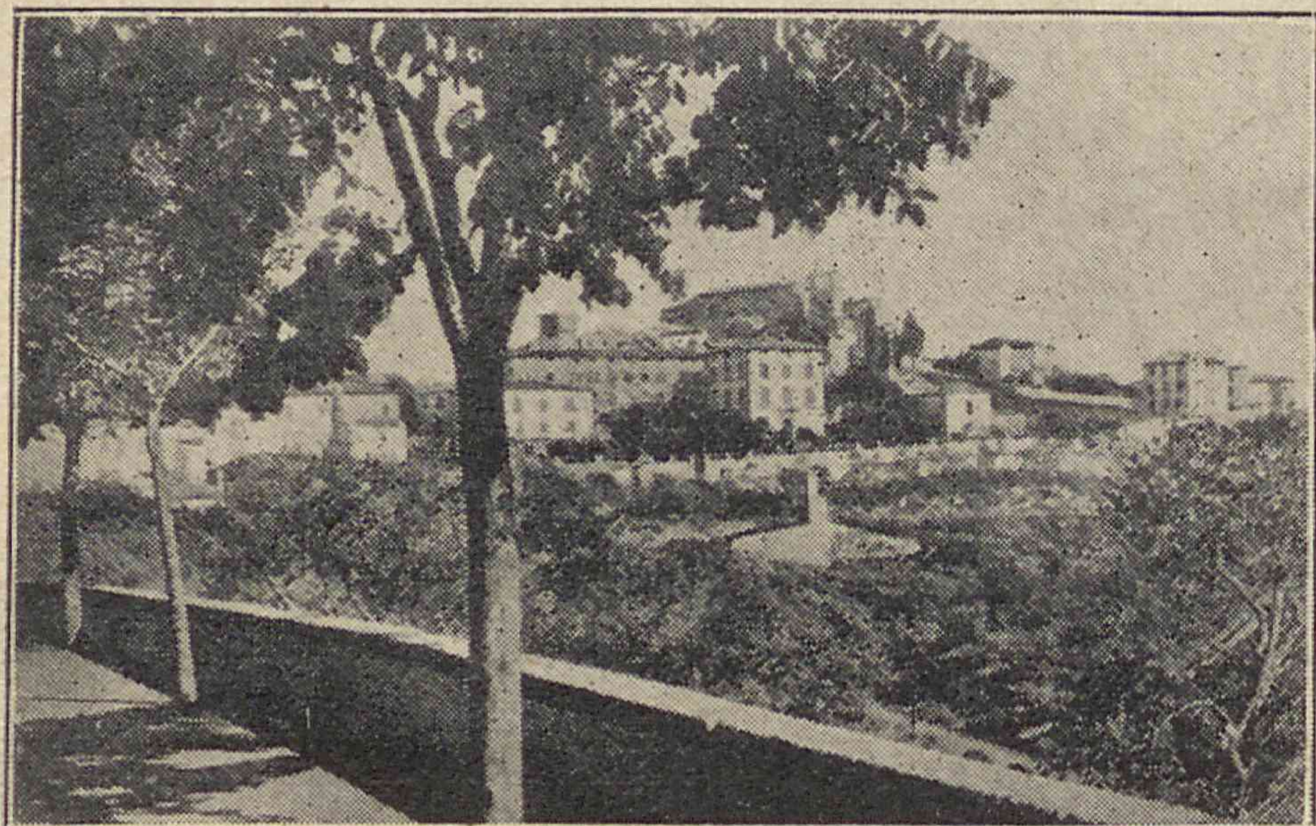
Nie brak też rozrywek sportowych, jak wyścigi kolarskie i konne, jak zawody lekkoatletyczne i tenisowe na cudownie położonym i wybudowanym placu tenisowym, którego mu mogą zazdrościć największe „bady".

Jednem słowem, na każdym kroku spotykasz piękno przyrody, dawną kulturę, świetne, wygodne urządzenia i nadewszystko niesłychaną uprzejmość!

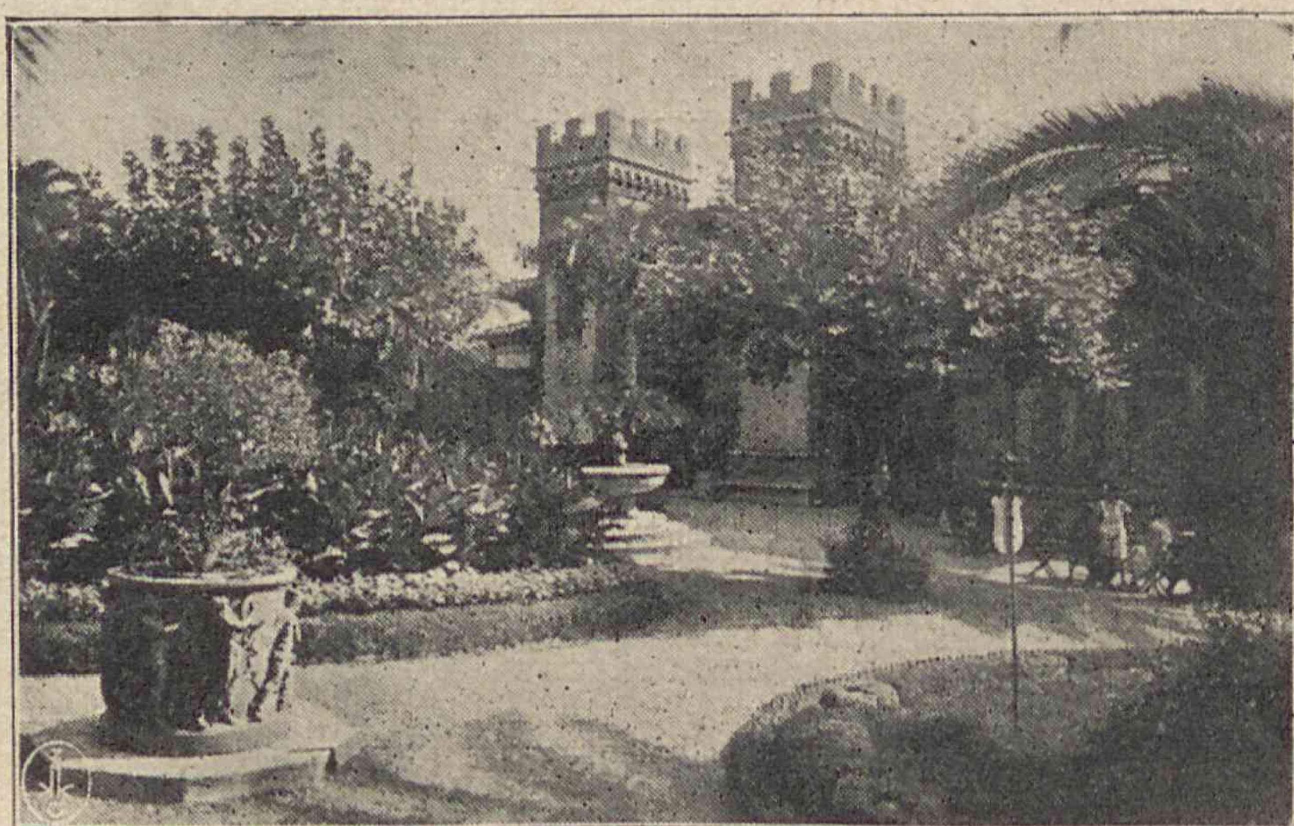
Osobiście lubię bardzo i cenię Krynicę, niemniej jednak nie mogę nie doceniać zalet i uroku tego Karlsbadu italskiego.

Fr. Szyłmanówna

Montecatini, w lipcu.



Montecatini Alto



Wnętrze Tettucio

ŻNIWA











1. Pod Prągą Czeską. 2. Moczenie lnu w Rumunji. 3. Żniwa w Japonji. 4. Kosiarz w Polsce, 5. Żniwiarka na łanie pod Poznaniem

Echa ze świata

GEN. NOBILE

Kampanja, prowadzona przeciw gen. Nobile przez prasę skandynawską i znaczną część niemieckiej, wywołała we Włoszech reakcję na korzyść niefortunnego podróżnika. Gdy bowiem gen. Nobile dał się uratować Lundbergowi, pozostawiając towarzyszów wyprawy na pastwę losu, we Włoszech zawrzało oburzenie, a w jego rodzinnem mieście spopularyzował się nawet boleśnie złośliwy dowcip. Gdy ktoś opuszczał towarzystwo, mówił:

— Teraz uczynię rzecz „szlachetną" (nobile).

— ??

— Zostawię was samych...

Pani Nobile uczuła się tak opuszczoną, że telegrafowała do męża:

— Dziękuję Bogu, że cię ocalił. Lecz nie wracaj bez towarzyszów.

Milczenie Mussoliniego w tej sprawie uważane było za ciche potępienie. Nastrój we Włoszech zmienił się jednak, gdy gen. Nobile zaczęto obrzucać obelgami i wyzwiskami. Zraniono dumę narodu. I naprzekór atakom dzienników cudzoziemskich powracającego podróżnika przyjęto owacyjnie.

Tem niemniej przecież wszyscy oczekują wyjaśnień. Gen. Nobile zapowiedział, że przyjdzie czas, kiedy wyjawi całą prawdę. Zdawałoby się, że ten czas już nadszedł.

GIOLITTI

Sędziwy polityk, który zmarł przed paru tygodniami, uważany był we Włoszech za jednego z najzręczniejszych mężów stanu. Był on zwolennikiem „silnej ręki", umiał trzymać w ryzach nawet ministrów. Raz jeden z członków jego gabinetu, Labriola, atakowany silnie w Izbie Deputowanych, zaczął wrzeszczeć, ogarnięty furją:

— Podam się do dymisji! Zobaczycie! Podam się do dymisji.

Giolitti podszedł do niego i rzekł zimno:

— Przestań krzyczeć i podaj się do dymisji zaraz.

Giolitti dumnym był z tego, że nie wahał się podtrzymywać autorytetu rządu gwałtownemi środkami.

Rozruchy robotnicze tłumił siłą wojskową; gdy Annunzio zamknął się we Fiume, kazał go bombardować armatami. Początkowo był zwolennikiem faszyzmu i popierał Mussoliniego. Gdy Duce przeforsował prawo, ograniczające wolność prasy, Giolitti przeszedł do umiarkowanej opozycji.

SAMOBÓJSTWO CÓRKI SCHNITZLERA

Znakomitego pisarza wiedeńskiego dotknął okrutny cios: jego ukochana córka odebrała sobie życie. Lili Schnitzler zakochała się w kapitanie włoskim Capellini, wyszła za niego za mąż. Mieszkali w Wenecji. Mimo miłości do męża, młoda kobieta nie mogła znieść rozłąki z ojcem. Błagała męża, by się przeniósł do Wiednia. Artur Schnitzler, bardzo przywiązany do córki, znalazł dla zięcia korzystne stanowisko w finansach. Lecz Capellini, entuzjastyczny zwolennik Mussoliniego, odpowiedział: muszę służyć księciu (Duce) i ojczyźnie.

Na tem tle wynikł zatarg, coraz ostrzejszy. Urocze „sucesses Mädel" wiedeńskie było w ciągłej rozterce. Kochała męża, tęskniła za ojcem i naddunajską stolicą. Nieporozumienia doprowadziły ją do takiego stanu zdenerwowania, że po gwałtowniejszej sprzeczce z mężem wybiegła do łazienki i targnęła się na życie.

Feljeton lwowski

NEKROLOG PANA KOMISARZA

Niewielu jest ludzi we Lwowie, którzy by nie znali człowieka, decydującego o zbiorowym ich, ongi autonomicznym, dziś ćwierć-autonomiczno-komisarskim losie.

Należę do grona nielicznych jego nieznajomych. Pozwala mi to sądzić jego działalność, — która dobiegła kresu — na odległość, z perspektywy. Jest to najlepsza, najprawdziwsza, najbardziej istotna forma znajomości. Element przypadkowych sympatyj i nieodłącznych przy stykaniu się osobistem zadrażnień odpada w tym wypadku zupełnie. Obraz z bliska jest przypadkowy, na odległość jest konieczny, prawdziwy.

Chodząc po ulicach miasta, poznaję p. Strzeleckiego, rozmawiam z nim. Wszędzie praktykowanym w miastach byłych galicyjskich i wogóle polskich obyczajem dłubie się, gmera w chodnikach, brukach, ustawia kupy kostek brukowych i płyt, formuje się wały piasku, aby wiatrowi wygodnie było dąć nim przechodniom w oczy. Wiemy o tem i nicby nas to nie dziwiło. Ot, zwyczajny perjodyczny dopust magistracki, po którym jeśli coś się mogło zmienić, to chyba na gorsze.

W ciągu tych dwu lat jednak z tego beznamiętnego, wytrwałego kopania wynikały jakieś skutki. Miękki grunt ulic i tego, co powinno było być chodnikiem, a czego ś. p. sędziwa galicyjska autonomja w mądrości swej niezgłębionej nie chciała pokrywać kamiennym gorsetem, dziś wybrukowany jest i wyłożony płytami i kostkami w sposób, że tak powiemy, kompromisowy, łączący w tym wypadku wady tradycji z zaletami nowego systemu. Kostki bruku są nieco mniej krzywe od poprzedniczek, ale jeszcze niezupełnie proste, abyśmy się może zbytnio nie dziwili z powodu nagłej zmiany. Grunt, na którym się je układa, stanowi ugnieciony żwir, a więc piękna, ewolucyjna inowacja. Natomiast szpary między kostkami posypuje się piaskiem, a piasek zwilża się wodą, aby osiągnąć znikomą złudę trwałości.

Koniec końców, mamy jednak uporządkowaną i udostępnioną dla ruchu pewną ilość ulic, które dotąd pozostawały w stanie dziewiczym. Dość wymienić górną Sykstuską, która obecnie ma wygląd niemal że europejski. Albo któżby kiedyś spodziewał się za austrjacko-autonomicznych czasów, że na ulicy Zielonej będzie normalny chodnik, i do tego w ciągu parotygodniowej, gorliwej działalności prawie że wykończony? Albo że saharyczna ulica Tarnowskiego dwa razy na tydzień polewana będzie wodą z autentycznych magistrackich beczkowozów, — w dnie inne samopomoc mieszkańców tej ulicy, rzadko u nas spotykamy objaw organizacyjnego talentu, polewa ją wodą z okien i balkonów, przyczem odrobina wilgoci dostaje się czasem w udziale głowom i odzieży przechodniów. Ale ci się nie gniewają, lecz podziwiają nienapotykany na innych ulicach objaw amerykańskiej inicjatywy.

Idąc tak ulicami, spotykam ducha pana komisarza; czasem to chwalę, a czasem dorzucam krytyczne uwgi. To jednak należy skonstatować, że skończył się zastój, że rzeczy ruszyły z miejsca. Coś się poczęło dziać.

I dlatego Lwowianie, zwłaszcza ci urzędowi i ex-urzędowi, tłumaczący zazwyczaj, że nic się nie da zmienić ani poprawić, ci mieszkańcy mojego grodu, którzy niechętnie spoglądali na przybysza — natręta z Warszawy, mówią obecnie: Dzielny człowiek. Porządny i pracowity.

Szkoda, że takie rzeczy w Polsce mówi się dopiero w nekrologu, choćby tylko politycznym i lokalnym. Szkoda, że wogóle u nas nekrologi pisze się tak szybko i tak często.

Włodzimierz Jampolski

Lwów.

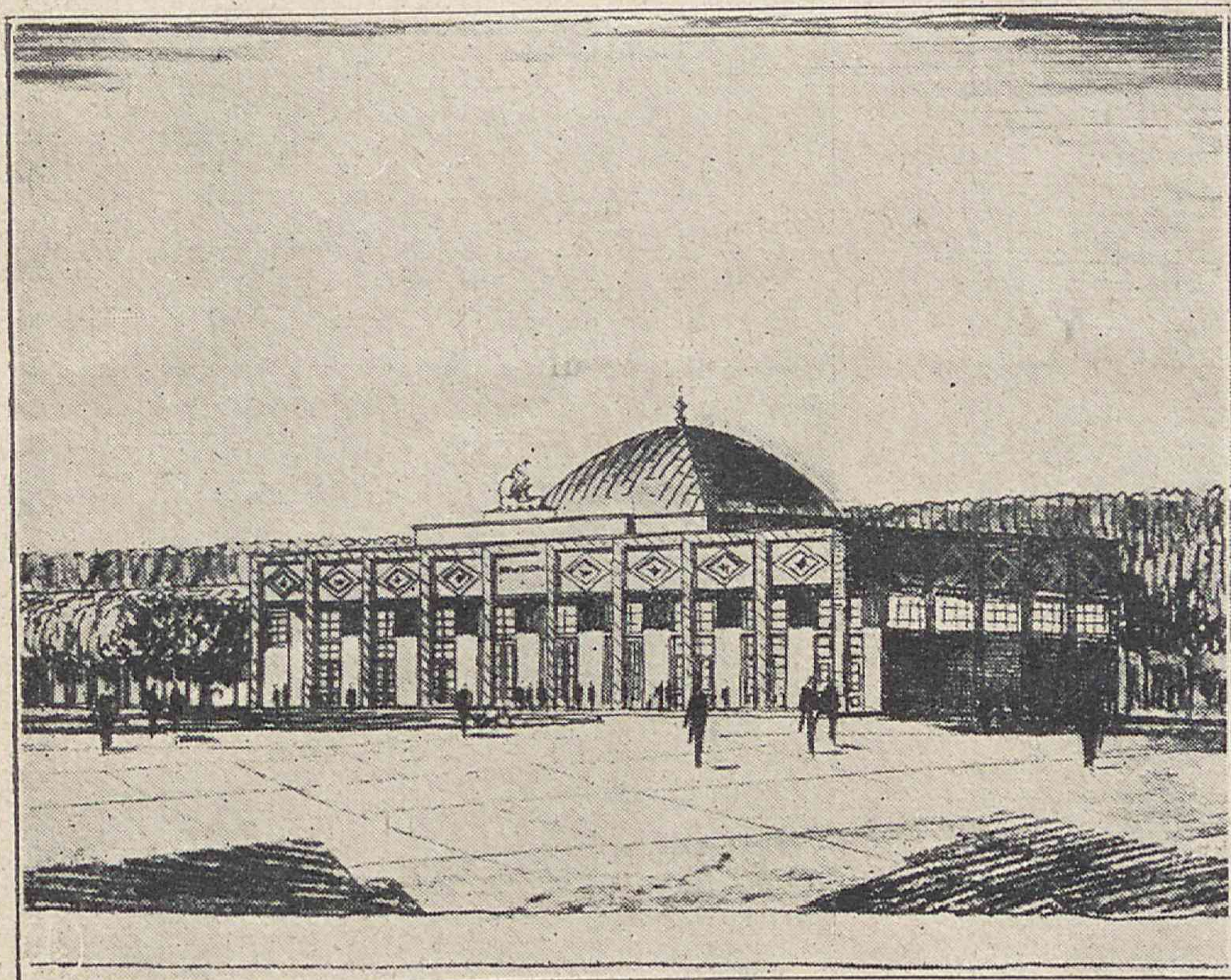
Parlament egipski

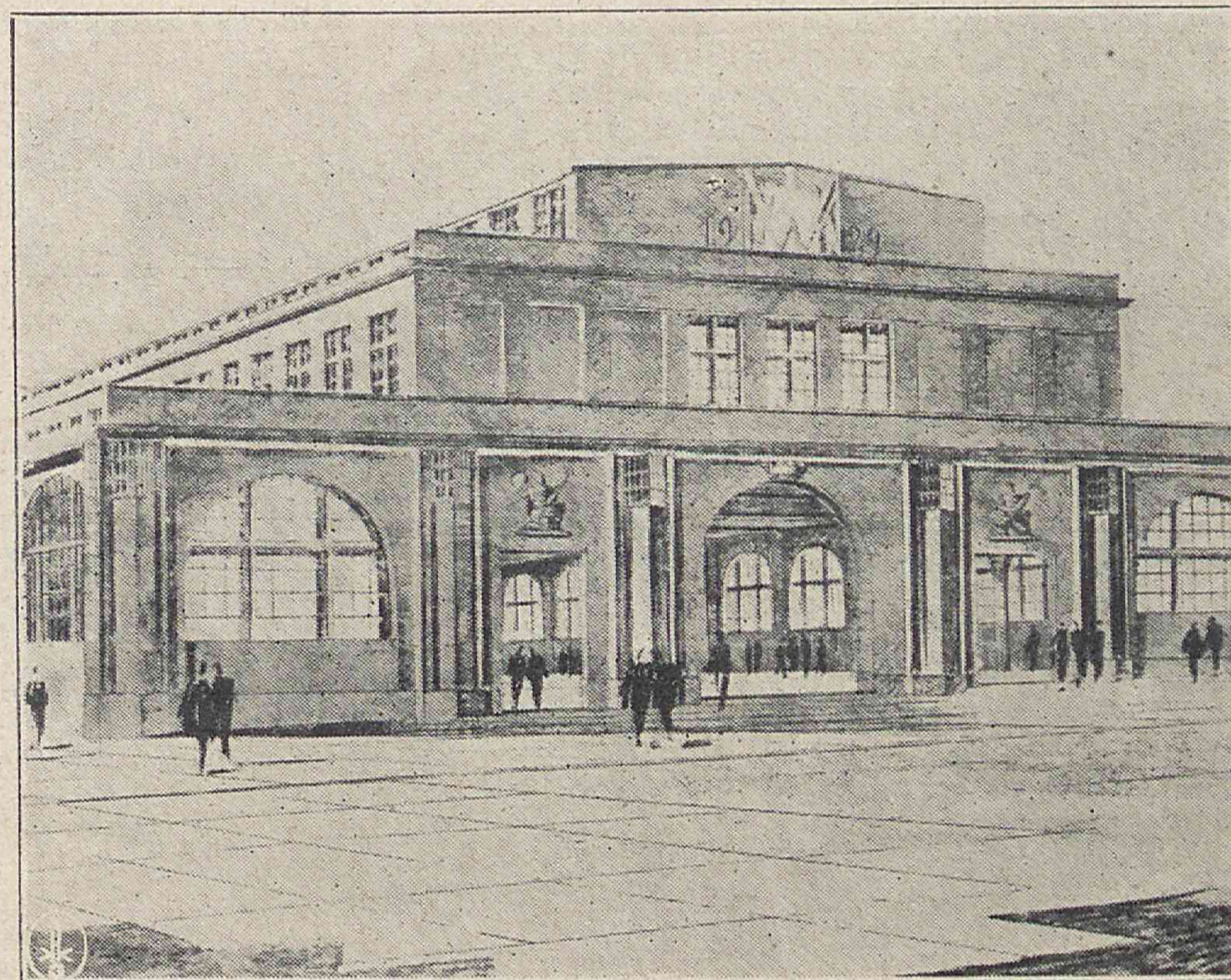
Bez wielkich krzyków, bez awantur, cicho, ładnie, grzecznie, gładko, rozwiązano parlament egipski. Podwoje gmachu egipskich suwerenów zamknięto na trzy lata. W piśmie, które poprzedziło zamknięcie, znajduje się następujące zdanie:

„Parlamentaryzm stał się narzędziem despotyzmu".

Na co to przyszło parlamentaryzmowi!

x. x. x.

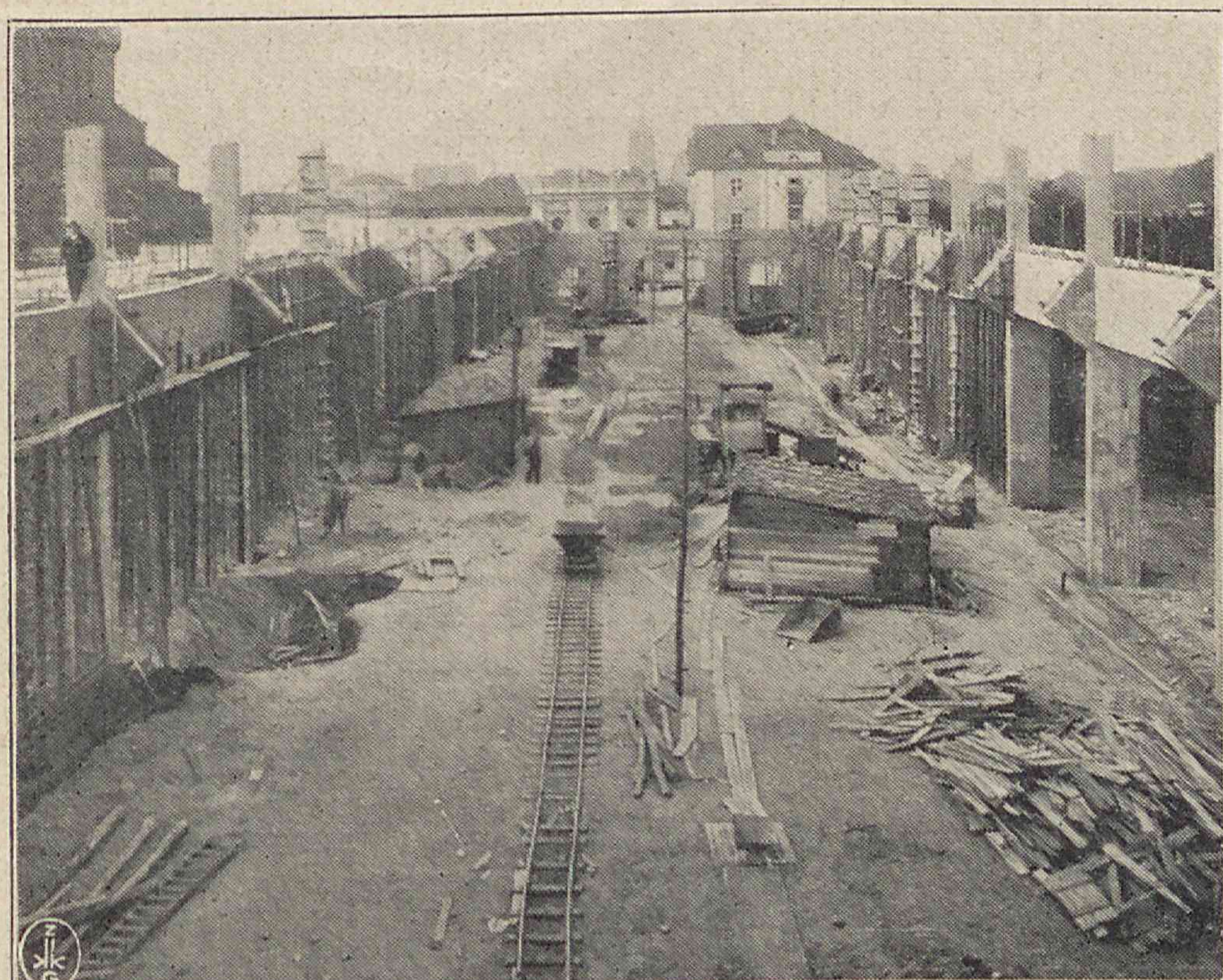




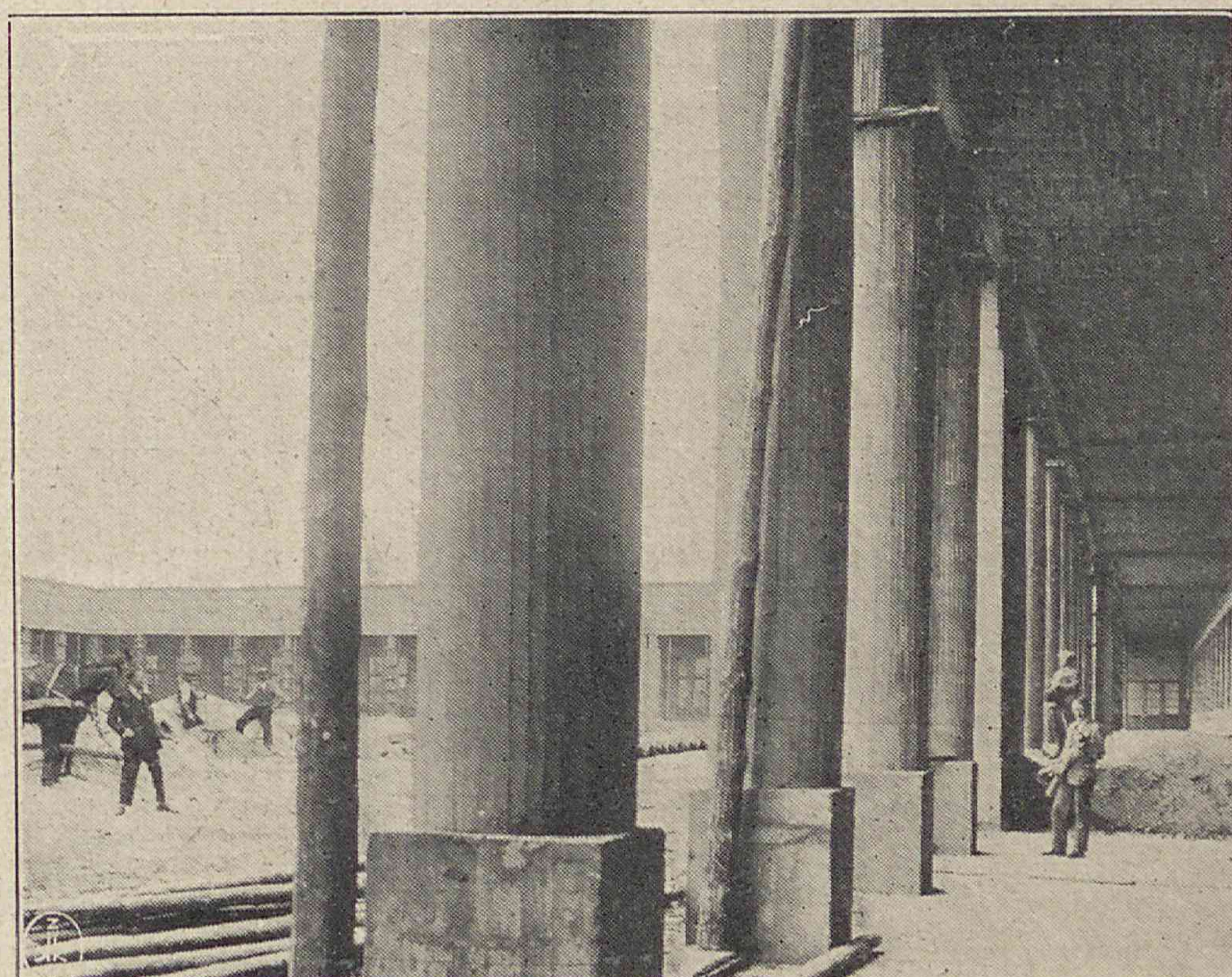
Projekt Pawilonu Polonji zagranicznej *Proj. arch. R. Sławski* *Projekt hali ciężkiego przemysłu*



Hala przemysłu metalowego Fot. R. S. Ulatowski



Hala ciężkiego przemysłu przed położeniem dachu
Proj. arch. R. Sławski Fot. J. Majewski



Wielki dziedziniec otoczony halami w stadjum budowy



Drużyna lwowska na trasie

Fot. Photo-Plat



Dzielny por. Santer, który pomimo zwichnięcia nogi dobrnął ze swą drużyną do mety

Wielkie dni Olimpjady skończone

Wieniec wspomnień. — Duchowa konkurencja. — Wielkie zwycięstwo „Łucznika". — Epopeja czwórki wioślarskiej. — Szermierze dokazują cudów. — Dobrze się zasłużyli... „Cześć im i chwała".

Ekstaza olimpijska minęła! Nastąpi teraz wielkie odprężenie, które cały świat sportowy powita napewno z ulgą po tylu tygodniach szalonych emocji i zjadania nerwów w trwodze ambitnej o losy swych barw w Amsterdamie.

Jak zawsze po wielkich wydarzeniach, nasuwać się nam będą najrozmaitsze uwagi i spostrzeżenia, z których przez długie miesiące rozmówek i gawęd uwije się wieniec wspomnień o igrzyskach największej współczesnej olimpjady, jej „blaskach i cieniach". Wiele radości i smutku przeżyliśmy, śledząc gorączkowo wysiłki naszych sportowców, walczących z największemi potęgami sportowemi świata. Udział polskiej reprezentacji nie przyniósł nam zdecydowanie wielkiego tryumfu, lecz pokazał światu, że w sporcie jesteśmy już wielką i poważną jednostką państwową, z którą muszą się liczyć czołowi potentaci „kultury fizycznej".

Przyjrzyjmy się zbliska kilku obrazkom olimpijskim, które mogą nam dać pewne pojęcie o tem, „jak to było w Amsterdamie"?

Olimpijski konkurs sztuki.

W dziale literatury brało udział dziesięć państw.

Zgłoszono utwory poetyckie, „epickie" i dramatyczne.

W tej „duchowej" konkurencji rywalizacja nie była tak silna, jak na bieżni.

O tytuł poetyckiego mistrza olimpjady ubiegało się dziewiętnastu poetów.

Naogół mało było utworów, które stanowiłyby skomponowaną i zamkniętą w sobie całość.

Fragmenty, luźne wiersze, czasami zlepki mniej lub bardziej udanych prób.

Nic dziwnego, że w takiem towarzystwie „Laur olimpijski" Wierzyńskiego wybijał się zdecydowanie na czoło dziewiętnastu rywali.

I oto spada na nas jak piorun wieść o pierwszej nagrodzie, uzyskanej przez poetę polskiego!

Zaszczyt, propaganda imienia i sztuki polskiej na wielkiem forum w obliczu 46 narodów i — co najważniejsze — trzy punkty za pierwsze miejsce, które „wywalczył" nam Wierzyński.

Te trzy punkty, wzmacniające naszą pozycję w ogólnej klasyfikacji narodów, sprawiły zapewne Wierzyńskiemu największą przyjemność. On, wielbiciel sportu, redaktor „Przeglądu Sportowego", na łamach którego szaleje z radości przy każdym naszym międzynarodowym sukcesie, do skromnego wieńca naszych zdobyczy olimpijskich „dorzucił" obok Konopackiej jeszcze jedno pierwsze miejsce, tak niesłychanie trudne do zdobycia w potężnej konkurencji kilkudziesięciu narodów.

Pisaliśmy już w „Świecie" o „pewnym Francuzie" odkrywcy tematów sportowych w sztuce.

Mamy tu na myśli Montherlanta...

Wielki był jego rozmach w latach powojennych. Zdawało się, że sport wyprze wszystkie inne zagadnienia i tematy w sztuce współczesnej... Gdy przyszły wielkie dni IX Olimpjady, Montherlant znalazł się na przeciwległym biegunie...

Przetrawiwszy w sobie światopogląd siły i zdrowia fizycznego, odrzucił go, jak łachman nieużyteczny i przeklinając poprzedni swój okres „pomyłki fizycznej", stanął wielki samotnik w obliczu zolimpizowanego świata i w czasie najgorętszych przygotowań przed Amsterdamem rzucił nam w twarz tragiczny okrzyk: nie tędy droga!

Lecz puszczona w ruch olbrzymia machina reinkarnacji fizycznej ludzkości idzie w tej chwili pełnym rozpędem i nikt się nie ogląda na „prywatne" zdanie i osobisty światopogląd Montherlanta.

Dlatego zabrakło utworów jego w konkursie olimpijskim sztuki...

W zachwycie nad trzema punktami i pierwszą nagrodą „Lauru Olimpijskiego" wyrządzamy pewną krzywdę, pomijając milczeniem trzecie miejsce, uzyskane przez „Łucznika" Wł. Skoczylasa.

Rozpisując się o naszych zwycięstwach olimpijskich, prasa polska nie zorjentowała się w wielkim sukcesie Skoczylasa, którego obraz walczył w najsilniejszej konkurencji, jaką jest niezwykle wysoki poziom plastyki światowej i jej ilościowa potęga.

W dziale plastycznym zgłoszono 146 „eksponatów"!!

Na tę olbrzymią ilość „startujących" dzieł, Skoczylas zajmuje trzecie miejsce!

Z OLIMPJADY



Mistrz szachowy Przepiórka, II nagroda na konkursie olimpijskim w Amsterdamie

Fot. Kirchner

Powinniśmy zrozumieć i w pełni ocenić wielki sukces polskiego malarza, który zwyciężył i znalazł się w pierwszej trójce, wśród tylu rywalizujących dzieł!

* * *

Niezwykłą niespodziankę zarówno nam, jak i wszystkim olimpijskim potęgom sportowym sprawili nasi szermierze i wioślarze.

Trzecie miejsce „czwórki ze sternikiem" i drużyny szermierczej w szablach dopiery wtedy ocenimy należycie, gdy przyjrzymy się nieprawdopodobnie silnej konkurencji, z którą zwycięsko walczyli.

Już w pierwszym przedbiegu czwórka nasza ma za przeciwnika osadę „wschodzącego słońca", japończyków, stuprocentowych żeglarzy, wogóle naród morski, „wodny". Na pierwszy rzut oka wyglądało to na pewną porażkę na samym początku. Tymczasem bijemy sympatycznych wioślarzy Wschodu o kilka długości.

Lecz wejście do finału w wioślarstwie nie jest łatwe. Trzeba wywalczyć sobie to prawo w niejednem jeszcze spotkaniu. Twarda osada bydgoska zwycięża z kolei Francję.

Trzecim naszym przeciwnikiem jest doskonała czwórka belgijska. I ona zostaje wyeliminowana przez polaków, którzy ku ogólnemu zdumieniu znajdują się w finale.

Czwarte zwycięstwo, dające nam 1 punkt i trzecie miejsce, wywalczyli w spotkaniu z niemcami, którzy musieli skapitulować przed jedną z najlepszych osad olimpijskich, skromną czwórką bydgoską.

Drugim tytanicznym wysiłkiem jest trzecie miejsce, zdobyte przez polaków w drużynowej konkurencji na szable w składzie: Papee, Seyda, Laskowski i Friedrich.

W pierwszej puli biją nasi szermierze Anglię 11 : 5! Drugi mecz przyniósł nam zwycięstwo 9 : 7 nad zdumionymi yankesami. W półfinale Polska pokonywuje Belgję również 9 : 7. Lecz nie koniec na tem. Tego samego dnia drużyna polska zwycięża bardzo silny zespół holenderski w świetnym stosunku 12 : 4!! Holendrzy, którzy pokonali nas w Paryżu, 16 : 0 (!!), nie mogli zrozumieć, jakim cudem w ciągu czterech lat potrafiliśmy osiągnąć światowy poziom w szabli!!?

Jesteśmy w finale!!!

Ażeby wyzyskać trzecie miejsce przed Włochami i Węgrami, musieli nasi szermierze uporać się jeszcze z piątym przeciwnikiem, Niemcami. I zwyciężyli po raz piąty!

Czytelnik może się zdziwić, dlaczego rozpisaliśmy się tak obszernie i szczegółowo o trzecich miejscach naszych wioślarzy i szermierzy.

Zrobiliśmy to zupełnie świadomie.

Zwycięskie ich wyniki są jednemi z najwartościowszych naszych sukcesów w Igrzyskach IX Olimpjady. Walczyli, jak lwy w licznych spotkaniach. Siłą, nerwami i całą swoją umiejętnością „przerąbywali" sobie drogę do finału i jednego z trzech zaszczytnych zwycięskich miejsc. Przez kilka dni utrzymać musieli w najwyższem napięciu swą wolę zwycięstwa.

Wykazali przed całym światem wspaniały hart sportowy, jeden z najwartościowszych „odcieni" idei olimpijskiej.

Wsławili imię sportu polskiego przed zdumionymi, pokonanymi przeciwnikami, w obliczu 46 narodów.

Możemy śmiało i z radością zawołać: szermierze i wioślarze polscy dobrze zasłużyli się ojczyźnie!

Cześć im i chwała!!

R.

To i owo

Między przyjaciółkami:

— Nie wiesz, co się stało z Helą. Cały wieczór milczy. Czyżby jaki zawód sercowy?

— Gorzej...

— Więc cóż?... Powiedz nareszcie...

— Kupiła sobie zaciasne pantofle...

TEATR POLSKI: „HOKUS POKUS"



Wykonawcy ról głównych: P.p. M. Kamińska i Samborski

Fot. St. Brzozowski

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE.

P. Prezydent Rzeczypospolitej uczestniczył w uroczystościach strzeleckich w Kielcach i w otwarciu kongresu Tow. prawa międzynarodowego w Warszawie. Obecnie do września przebywać będzie w Spale.

Premjer p. Bartel powraca na stanowisko w dn. 20 b. m. Wobec wyjazdu min. Moraczewskiego ster rządów na kilka dni objął p. min. Czechowicz.

Nowowybudowaną kolej Łuck — Stojanów otwarto uroczyście przy udziale przedstawicieli rządu i prasy. Komunikacje nasze rozwijają się coraz pomyślniej.

POLSKA I LITWA.

Konferencja polsko - litewska odbędzie się podobno z końcem miesiąca w Genewie przed samą sesją Rady Ligi Narodów. Może w tej sytuacji Litwa będzie przystępniejsza rozumowym argumentom.

Konflikt polsko - litewski nie budzi zaniepokojenia w angielskich kołach politycznych. Liczą tam na skuteczną interwencję Ligi Narodów.

Do zażegnania konfliktu w drodze pokojowej muszą dążyć Niemcy, bo zbrojna komplikacja byłaby dla nich samych groźną. Taki jest głos opinji spokojnej i politycznie myślącej.

Z powodu Wilna Sowiety nie rozpoczną wojny z Polską. Tym argumentem nakłania trzeźwa prasa kowieńska swój rząd do polityki porozumienia.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Stefan Radicz, ofiara zamachu w skupsztynie, zmarł w Zagrzebiu. Chorwacja uczci go narodową żałobą w ciągu 6 tygodni.

Antagonizm serbsko - chorwacki nasilił się skutkiem zgonu Radicza. Ani rząd, ani grupy parlamentarne serbskie nie wezmą udziału w pogrzebie, obawiając się wrogich demonstracji.

Traktat Kelloga podpiszą na razie tylko mocarstwa uczestniczące w traktacie lokarneńskim. Inne państwa będą mogły przystąpić do niego później, lecz bez dyskusji i zastrzeżeń.

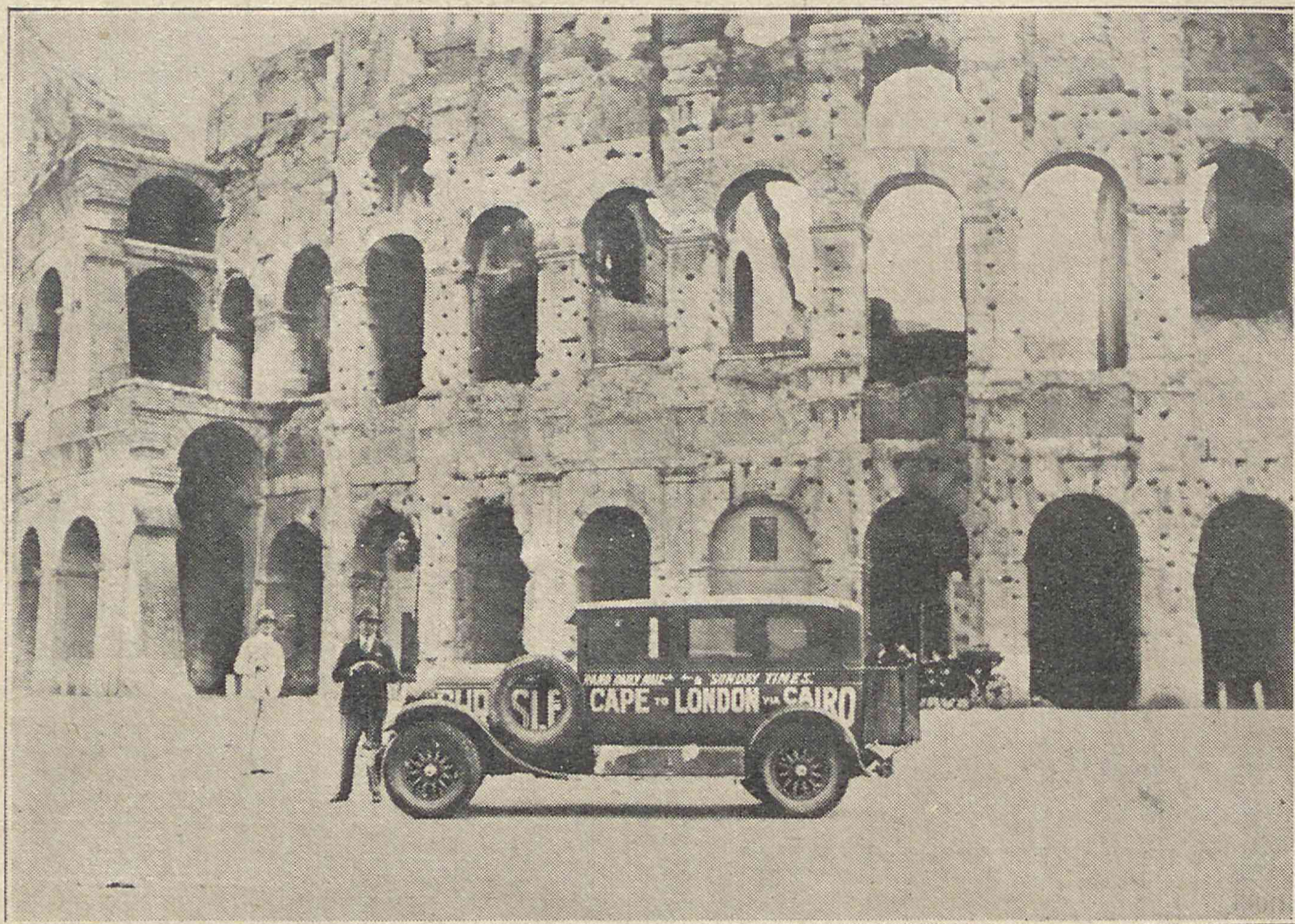
W stanie zdrowia Chamberlaina nastąpiła znaczna poprawa. Okres rekonwalescencji spędzi na morzu, odbywając podróż statkiem do Kalifornji i Panamy.

Lord Cushendum objął zastępstwo Chamberlaina w Lidze Narodów. Zmiana ta bardzo nie dogadza polityce niemieckiej.

Ambasadę W. Brytanji w Berlinie poprowadzi sir Horacy Rumbold. Przy składaniu listów uwierzytelniających brzmiały z obu stron pokojowe zapewnienia.

Z komisji reparacyjnej w Paryżu kradziono tajne dokumenty i sprzedawano zainteresowanym. Niezwykły skandal dyplomatyczny.

SAMOCHODEM OD PRZYLĄDKA DOBREJ NADZIEJI DO KAIRU



Ilustracja przedstawia samochód firmy „Chrysler" 72, na którym amerykanin p. Bouver wraz z towarzyszem przebył Afrykę na trasie od Przylądka Dobrej Nadziei do Kairo. O fenomenalnej wytrzymałości wozu świadczy to, że poza uszkodzeniami pneumatyków, żadnych poważniejszych defektów podróżnicy w drodze nie mieli. Ten sam wóz „Chrysler 72", który przebył taką drogę po Afryce, przewieziony do Anglji, na popisie w Brookland uzyskał przeciętną chyżość 105 klm. Niedługo pełne uroku karawany wielbłądów, jedyny dotychczas środek lokomocji po poetycznych przestrzeniach Afryki... należeć już będą do romantycznej przeszłości.

Z ruchu wydawniczego

Ukazała się nakładem księgarni „Kroniki Rodzinnej" doskonała książka do nabożeństwa znanego autora ks. Kazimierza Naskręckego p. t. „Pójdź za mną".

Staranny układ, umiejętny dobór modlitw, obfita treść przy dogodnym formacie sprawiają, iż książka „Pójdź za mną" znajduje coraz szersze rozpowszechnienie, najlepszym czego dowodem, iż wychodzi obecnie już w piątem wydaniu.

Książka została wydana w różnych oprawach, od najskromniejszych płóciennych do wykwintnych skórkowych, by każdy mógł sobie dobrać odpowiednią stosownie do gustu i możności.

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI

GALEWSKI I DAU, Warszawa

SKĄD CZERPIE SWOJE NOWALJE MODA?





Kobiety z Burmy, przystrojone według estetyki i zwyczajowości tego kraju: w uszach wisiory, na szyi bransolety z bronzu. Modnisie europejskie narazie kopjują wisiorki w uszach. Należy się jednak spodziewać, iż w niedalekiej przyszłości zaczną naśladować burmanki i w innych szczegółach tualety

TO I OWO

W restauracji z obsługą studencką.

Gość z niezadowoleniem: Prosiłem o ozór cielęcy...

Kelner - student: Podałem ozór...

Gość: To jest ozór wołowy...

Student: Drobiazg, lapsus linguae...

* * *

Na letnisku:

— Mamusiu, a gdzie tu jest pokój kąpielowy?...

— Tu nie Warszawa...

— To naprawdę niema pokoju kąpielowego? — jeszcze raz pyta niedowierzająco mały Janek.

— Niema.

— Świetnie, znakomicie! — klaszcze w ręce Janek. Jak urlop — to urlop!

* * *

W kancelarji kościelnej.

Młoda para przyszła dać na zapowiedzi. Urzędnik zauważył, iż narzeczony jest bardzo pijany:

— Jak pani mogła przyprowadzić w takim stanie narzeczonego? Ksiądz nie zechce wcale rozmawiać...

— Niech pan jednak wpłynie...— prosi nieśmiało panna.

— Sama pani widzi, że jest pijany...

— Tak, ale na trzeźwo nie chciał iść...

* * *

HUMOR ZAGRANICZNY



— Mama zgarnęła mi dwa moje flirty, ale wszystko mi jedno: ja nie lubię tak młodych chłopaczków...

W muzeum królewskiem w Londynie cicerone wyjaśnia:

— A oto zbiór królewskiej porcelany angielskiej. Wartość trzy miljony dolarów.

Pani z Ameryki:

— Morgan posiada zbiór za pięć miljonów. Jest też co pokazywać...

Pani z Niemiec:

— Łatwo to powiedzieć. Widocznie na dworze angielskim niema wcale służących. Niechby dali taki serwis mojej Grecie. W miesiąc byłyby skorupy...

* * *

Pięć pór roku...

Wielki kupiec z Ryczywołu lub Kaczego Dołu głęboko zastanawia się, jaką przybrać firmę dla swego nowopowstającego sklepu... Sąsiedzi, przyjaciele proponują różne znakomite tytuły:

— „Ekscelsior", „Majestic", „Bristol".

Miejscowy filozof znajduje, że wszystkie są nieodpowiednie. Wreszcie ktoś podaje projekt:

— Cztery pory roku?...

— Dlaczego cztery?

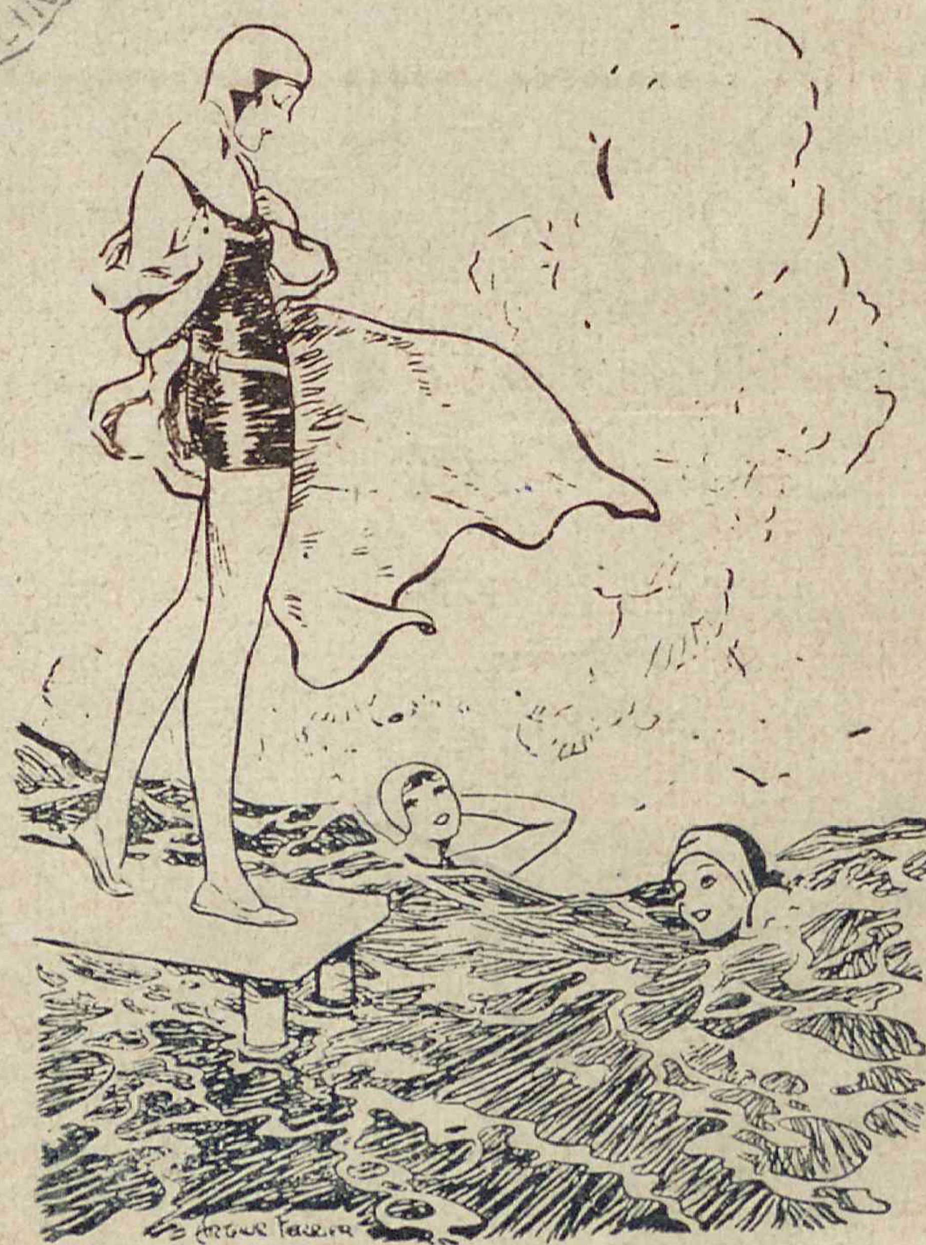
— No, bo są cztery sezony.

— A gdzie jest sezon martwy?

——o——



HUMOR ZAGRANICZNY



— Matka będzie się gniewać, gdy cię zobaczy w tak kusym kostjumie.

— Wiem, że będzie się gniewać, bo to jej własny kostjum.

(„Rire")

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755.
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13. (róg Europ.).

W ŁODZI: Biuro dzienników ogłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH" CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 4 zł. 40 gr., kwartalnie 13 zł., z odnoszeniem do domu miesięcznie 4 zł. 80 gr., kwart. 14 zł. 40 gr., na prowincji mies. 5 zł., kwartalnie 15 zł. Zagranicą miesięcznie 7 złotych.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 20 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA.

